

**Kathie DeNosky**

**Ślub przy choince**

## Rozdział 1

– Szeryfie! Jest pan tu?

Pytanie, zadane damskim głosem, odbiło się głuchym echem w wielkiej remizie strażackiej, zajmującej budynek wspólnie z biurem szeryfa w miasteczku Tranquillity. Dylan Chandler poczuł, jak zaciska mu się żołądek, a włoski na karku stają dęba. Nienawidził, gdy kobieta zwracała się do niego tonem, w którym wyczuwał jednocześnie lęk i oburzenie. Odkąd pełnił służbę jako funkcjonariusz prawa, ten ton nieodmiennie zapowiadał kłopoty.

Przytrzymał się krokwi i spojrzał w dół. Miał rację. Nowa mieszkanka Tranquillity, Brenna Montgomery, wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha, a na dodatek ten duch przyprawił ją o wściekłość.

Dylan widział Brennę do tej pory tylko raz, i to z daleka. Było to podczas zebrania rady miejskiej, gdy prosiła o pozwolenie na otwarcie sklepu z rzemiosłem artystycznym. Przy tamtej okazji nie zostali sobie formalnie przedstawieni, więc właściwie nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Ale jeżeli teraz miałby potraktować złość malującą się na twarzy jako wskazówkę co do jej charakteru, nie wyglądało na to, by zawarcie znajomości sprawiło mu choćby najmniejszą przyjemność.

Może go nie zauważy, jeśli będzie milczał.

Przecież wisi na linie pod samym sufitem. A jeśli go nie zauważy, pójdzie do jego gabinetu, dając mu czas na zejście na podłogę i włożenie koszuli.

Niestety. Brenna zauważyła koniec zwisającej liny i spojrzała w górę. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko się przedstawić.

– Jestem szeryf Chandler. Czym mogę służyć?

Zsunął się po linie na podłogę, chwycił koszulę i szybko się ubrał.

Ale Brenna milczała i tylko się w niego wpatrywała. Pomyślał, że bierze go za wariata. Albo to, albo ma rozpięty rozporek. Zerknął w dół. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pas bezpieczeństwa, który tak mu obcisnął talię i uda, że męska część jego anatomii odznaczała się aż zbyt wyraźnie.

– Pani Montgomery, czym mogę służyć? – powtórzył, zdzierając z siebie pas.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec.

– Dlaczego zwisał pan z sufitu? – spytała niepewnym głosem.

Coś podobnego! Chce go przesłuchać!

– Musiałem przetestować nowe wyposażenie do wspinaczki dla naszego zespołu ratowniczego – wyjaśnił, z trudem powstrzymując uśmiech.

Skinęła głową i obrzuciła salę spojrzeniem. Chyba bała się mu spojrzeć w oczy. Po chwili niezręcznego milczenia Dylan lekko położył dłoń na jej plecach i

skierował ją do swojego gabinetu. Ale gdy siadał przy biurku, musiał zacisnąć pięść, by pozbyć się mrowienia, które poczuł w całej ręce. Na pewno za mocno trzymał linę – wytłumaczył sobie. Bo przecież nie mogło go mrowić od kontaktu z ciałem Brenny, i to przez bluzkę. To po prostu śmieszne.

– No więc, w jakiej sprawie pani przyszła? – ponaglił ją, wkładając swój kapelusz typu resistol.

Chwilę, gdy Brenna zbierała myśli, wykorzystał na to, by dobrze jej się przyjrzeć. Nawet gdyby od tego zależało jego życie, nie potrafiłby wyjaśnić, czemu tak piękne miedziane włosy zebrała na czubku głowy w byle jaki kok. Wyglądało to jak bejsbolowa piłka wepchnięta w ptasie gniazdo.

– Chciałam złożyć skargę na pewnego starszego mężczyznę... – zaczęła i gwałtownie zamilkła. – Szeryfie, słucha mnie pan?

– No więc co z tym starszym mężczyzną? – udało mu się spytać.

– Jak powiedziałam, pewien starszy mężczyzna napada kobiety na Main Street.

– Tu? W Tranquillity? Niemożliwe!

Dylan patrzył, jak ona się czerwieni, tym razem z oburzenia, że podaje jej słowa w wątpliwość, a na nosie występuje kilka rozkosznych piegów. Ten widok, a także ogień w wielkich niebieskich oczach i perfekcyjnie ukształtowane usta sprawiły, że zamarzyła mu się długa zimowa noc i bardzo miękkie

łóżko.

Potrząsnął głową, by odegnać te głupie myśli. Brenna jeszcze coś powiedziała, ale sens jej słów mu umknął. Do diabła! Musi przestać zwracać uwagę na wygląd tej kobiety i skierować uwagę na służbowe obowiązki.

– Co pani mówiła?

– Powiedziałam, że jakiś starszy facet objął mnie na ulicy i pocałował – powtórzyła spokojnie, ale było widać, że cierpliwość powoli jej się wyczerpuje.

Dylan westchnął. Co się stało z tą miłą kobietą, która od pierwszej chwili oczarowała całą radę miejską? Zarówno burmistrz, jak i członkowie rady od tygodnia potrafili mówić tylko o tym, jaką słodką dziewczyną jest ta mała Montgomery. Pokręcił głową. Nigdy nie przestawało go zadziwiać, jak uprzejma może być kobieta, gdy wszystko idzie po jej myśli, a jaka kłótliwa się staje, gdy coś jej się nie podoba.

Przeklął pod nosem. Nie przejąłby się jej tonem i nieustępliwością, gdyby wyglądała inaczej. Ale wyglądała tak, że na czole i nad górną wargą wystąpiły mu kropelki potu. Była po prostu... rozkoszna!

Tylko... dlaczego jest tak dziwacznie ubrana? – zastanawiał się, gdy przy poruszeniu zaszeleściła długą spódniczką. Bluzkę miała zapiętą pod samą brodą, a spódniczka sięgała aż do ziemi. Przywodziła

na myśl staroświecką nauczycielkę z westernów, które oglądał w dzieciństwie.

– Tylko tyle? – spytał w końcu. – Chodzi o zwykły pocałunek?

– Czy to nie dość? – Gdy się nie odezwał, spojrzała na niego ze zdumieniem. – Chyba pan nie sądzi, że to dla mnie chleb powszedni?

– Nie.

Serce zaczęło mu wyprawiać dziwne harce. Jakie znaczenie ma jej niegustowne uczesanie i ubranie, skoro i tak aż się prosi o pocałunek. Dylanowi zawsze miękło serce, gdy chodziło o rude kobiety w opałach.

Brenna poczuła dreszcz na plecach. Oddałaby teraz wszystko za czekoladowy batonik, który pomógłby jej opanować się w tej nerwowej sytuacji. Widok wiszącego u krokwi mężczyzny bez koszuli tak ją zaszokował, że zauważyła tylko jego imponującą muskulaturę. Ale gdy się ubrał i przez materiał spodni objawiły jej się jego wyjątkowe męskie atrybuty, na długą chwilę zaniemówiła. Aż trudno jej było uwierzyć, że to obrońca prawa. Wprawdzie świadczyła o tym odznaka, ale czyż dobrzy faceci nie noszą białych kapeluszy? A tymczasem szeryf Chandler ozdobił głowę o włosach czarnych jak heban równie czarnym kapeluszem. Na czoło spływał mu nieporządny pukiel, na policzkach pojawił się już popołudniowy zarost. Wyglądał naprawdę

niebezpiecznie i absolutnie fascynująco.

Wściekła na siebie za te głupie myśli, wzięła głęboki oddech.

– I co pan zamierza zrobić w tej sprawie?

Dylan kciukiem zepchnął z czoła kapelusz, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. Takim spojrzeniem powstrzymał już niejedną bójkę w barze, zanim zdążyła się na dobre rozkręcić. Ale na Brennę nie podziałało.

O mało się nie uśmiechnął, psując cały efekt. Po raz pierwszy od sześciu lat jego groźne spojrzenie nie onieśmieliło przeciwnika. I to jakiego przeciwnika! Słodkiej kobietki z noskiem upstrzonym piegami. Zdumiewające!

– Czy chce pani złożyć formalną skargę?

– Nie. Ten staruch właściwie mi nie groził. – Wzruszyła ramionami. – Ale nie życzę sobie, by coś takiego się powtórzyło. Naprawdę się wystraszyłam, gdy całkowicie obcy mężczyzna chwycił mnie w niedźwiedzi uścisk i pocałował. I nie ma tu żadnego znaczenia fakt, że pocałował mnie tylko w policzek.

– Rozumiem. Czy dał pani różę? – Gdy skinęła głową, Dylan się uśmiechnął. – Wobec tego już wiem, kto to był.

I proszę mi wierzyć, nie groziło pani żadne niebezpieczeństwo. To był Pete Winstead. Porozmawiam z nim, ale uważam, że on po prostu

chciał panią serdecznie powitać w naszym mieście.

– Nie obchodzi mnie, kto to był. Ten człowiek wystraszył mnie niemal na śmierć.

Dylan zmarszczył czoło.

– To był tylko całus w policzek.

– Tak, ale pan sobie nawet nie wyobraża, jak bardzo to może kobietę wystraszyć. Tam, skąd pochodzę, taki uczynek byłby potraktowany jak... – przerwała, szukając odpowiedniego słowa – .. . jak napaść. Dylan nie wytrzymał i roześmiał się.

– Czy ten stary przyk powiedział coś podczas tej rzekomej napaści?

Brenna zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Owszem, ale tak się bałam, że nic nie zrozumiałam.

Poza tym jechało od niego piwem.

Uśmiech zamarł na ustach Dylana.

– Ma pani coś przeciwko temu, by mężczyzna po dniu ciężkiej pracy wypił piwo?

– Cóż... nie...

– Więc wyjaśnię pani, jak u nas takie sprawy się przedstawiają. Wszyscy mężczyźni wpadają po pracy do baru Luke'a na piwo i plotki. To tradycja: wypić piwo, pogadać i iść do domu. – Dylan wzruszył ramionami. – Pete nie jest ani lepszy, ani gorszy niż inni. Regularnie zachodzi do Luke'a. Ale nigdy nie widziałem, by wypił więcej niż dwa piwa.

– Zdaję sobie sprawę, że to zżyta, niewielka



społeczność, i proszę mi wierzyć, chcę się do niej włączyć. Ale nie przyszłam tu dyskutować o zwyczajach Pete'a Winsteda. Gdy obcy mężczyzna rzuca się na kobietę i ją całuje, naturalną reakcją jest strach. A pana praca polega na tym, by nie dopuszczać do takich zdarzeń.

Dylan ze złości zacisnął pięści. Był dobry w swojej pracy i żadna wyniosła damulka z wielkiego miasta nie będzie mu mówić, jak ją wykonywać. Jeżeli raz na to pozwoli, potem się od niej nie opędzi.

– Powiedziałem, że z nim porozmawiam. Czy chce pani złożyć jeszcze jakąś skargę?

– I co bym przez to zyskała, szeryfie? – Udało jej się wypowiedzieć to ostatnie słowo tak, jakby było nieprzyzwoite.

Zanim zdołał jej coś odpowiedzieć, zakręciła się na pięcie, energicznie poszła do wyjścia, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że aż szyby zadzwoniły.

Dylan wpakował ręce do kieszeni dżinsów, podszedł do okna i przyglądał się, jak Brenna idzie ulicą, wsiada do starej toyoty i odjeżdża.

Nie wątpił, że incydent z Pete'em ją wystraszył. Jej bladość i drzenie głosu nie były udawane.

Ale znał takie jak ona i wiedział, że nieodmiennie są przyczyną wielkich kłopotów. Kobiety z jej rodzaju zawsze próbują zmienić wszystko według własnych wyobrażeń. Jej skarga dobitnie o tym

świadczyła. Nie minął nawet tydzień, odkąd zamieszkała w Tranquillity, a już chciała położyć kres miłemu zwyczajowi jego wujka Pete'a.

Dylan zaczynał przeczuwać, że jeżeli Brenna zostanie tu na stałe, Tranquillity nie będzie już nigdy takie jak do tej pory.

– Brenno, uspokój się. Szeryf zapewne miał rację, jeżeli chodzi o starego Deke'a – powiedziała Abigail Montgomery.

– Pete'a, babciu – poprawiła ją Brenna. – Ten człowiek ma na imię Pete.

– Jak się zwał, tak się zwał. – Abigail zbyła sprawę machnięciem ręki. – Nie interesuje mnie ten stary kozioł.

Chciałabym dowiedzieć się więcej o tym młodym, tym, który nosi odznakę.

Brenna westchnęła. Już nie raz to z babcią przerabiała.

– Co mam ci powiedzieć? Wysłuchał mojej skargi, a potem wygłosił stroniczy komentarz.

Abigail pokręciła głową tak gwałtownie, że aż zatańczyły jej jasnopomarańczowe loki.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. Jakiego koloru ma oczy i włosy? Jest wysoki? Czy to superogier, czy safandula?

Brenna z desperacją popatrzyła na babcię. Odkąd rok temu przeszła na emeryturę, a była szkolną

kuratorką, jej jedynym celem było wydanie wnuczki za mąż. By trzymać rękę na pulsie, posunęła się nawet do tego, że sprzedała dom, w którym zamieszkały dziesięć lat temu, po śmierci rodziców Brenny, i pojechała za wnuczką do Tranquillity w Teksasie.

– Babciu, za każdym razem, gdy poznaję jakiegoś mężczyznę, przeprowadzasz takie samo śledztwo. Jeszcze ci się to nie znudziło?

– Brenno Elaine Montgomery, masz prawie dwadzieścia sześć lat, a jak na razie jedynym, co w twoim życiu choć trochę przypominało prawdziwy związek, było sztubackie zadurzenie się w tym draniu Timie Millerze.

– Tomie Mitchellu – poprawiła Brenna. – Ale dzięki temu dostałam dobrą naukę. Dowiedziałam się, że mężczyźni wykorzystują kobiety, a potem, gdy nie są już im potrzebne, bez skrępowania się ich pozbywają.

– Od początku cię uprzedzałam, że to łobuz. A gdy namówił cię, byś pomogła mu finansowo podczas studiów w szkole prawniczej, okazało się, że miałam rację. – Abigail pokręciła głową. – Ale nie osądzaj wszystkich mężczyzn według tamtego łajdaka.

Brenna poczuła, jak ze wstydu palą ją policzki.

– Rzeczywiście, miałaś rację. Ale nie spotkałam potem ani jednego mężczyzny, który zasługiwałby na to, bym przynajmniej chciała lepiej go poznać.

– Może ten Devin...

– Dylan.

– Jak go zwał, tak zwał. Może on ci udowodni, że nie masz racji. Potrzebujesz mężczyzny takiego jak Darwin i trochę zabawy, by się odprężyć i znów żyć.

– Babciu!

– Mówię, jak jest. No, opowiedz mi o szeryfie Chancellorze. Wiesz, jak uwielbiam słuchać o przystojnych mężczyznach.

– On się nazywa Chandler.

– Jak się zwał, tak się zwał.

Brenna zmarszczyła brwi.

– Nie odpuścisz mi, co?

– Absolutnie nie. – Abigail mrugnęła do niej. – Założę się o moje nowe reeboki, że to prawdziwy ogier. Pewnie przystojniejszy niż Mel Gibson, a muskulatury mógłby mu pozazdrościć Ronald Schwasenhoofer.

– Arnold Schwarzenegger.

– Jak go zwał, tak zwał.

Brenna wstała i odniosła naczynia do zmywarki. Ale wiedziała, że tylko odwleka to, co nieuchronne. Pod względem wytrwałości w śledztwie nikt, nawet super-agenci CIA, nie dorastał Abigail Montgomery do pięt.

– Dlaczego myślisz, że ten szeryf musi być kimś wyjątkowym?

– Dobrze cię znam i widzę, że ci się spodobał.

– Wcale nie.

– Spodobał, spodobał. A teraz puszczaj farbę.

Brenna wyrzuciła w górę ręce, zarówno w geście frustracji, jak i poddania.

– Jest wysoki...

– Bardzo?

– Powiedziałabym, że metr osiemdziesiąt. Ma czarne włosy i zielone oczy.

– No, mów dalej – ponagliła ją babcia niecierpliwie, gdy Brenna zamilkła.

– Chyba niedawno przekroczył trzydziestkę. I to wszystko, co mogę o nim powiedzieć. Zresztą, co mnie on obchodzi!

– No, no. To taki wiek, że na brzuchu pewnie już mu się osadza tłuszcz. – Abigail pokręciła głową. – Ale nie przejmuj się tym. Ty gotujesz tak marnie, że tłuszcz opadnie z tego biednego człowieka jak liście z drzew jesienią.

Brenna zignorowała aluzję do jej kiepskiego gotowania, bo przed oczami stanęła jej zgrabna sylwetka szeryfa.

– Ma płaski brzuch.

– Tylko że pewnie jest szczerbaty?

Oczami duszy Brenna zobaczyła urzekający uśmiech szeryfa.

– Ma piękne zęby.

– Ale nochal to na pewno ma wielki, co?

– Babciu, przestań. – Brenna wzięła się pod boki. –

Nie ma dużego nosa. A nawet gdyby, to i tak nadal byłby bardzo przystojny.

– Ach! – wykrzyknęła Abigail triumfalnie. – Powoli dochodzimy do sedna sprawy. A więc jest aż tak przystojny? – Znow mrużnęła do Brenny. – Założyłabym się, że fantastycznie całuje.

– Babciu...

– Będiesz wieczorem potrzebowała samochodu?  
– spytała nagle Abigail.

– Nie – odparła, zdziwiona nagłą zmianą tematu. – Mogę iść do sklepu na piechotę. Czemu pytasz?

– Chciałam pojechać do Alpine z jednym z moich nowych przyjaciół.

– Jak to miło. – Brenna ucieszyła się, że babcia już zdążyła się tu z kimś zaprzyjaźnić. – I co planujecie?

– Jedziemy poszukać dla ciebie chłopaka. Masz jakieś specjalne wymagania?

– Babciu, proszę, nie zaczynaj od nowa mnie swatać.

– Och, daj spokój. – Abigail przewróciła oczami. – Po prostu jedziemy do kina. Podrzucić cię do ratusza?

Brenna odetchnęła z ulgą. Nigdy nie miała pewności, kiedy babcia mówi poważnie, a kiedy żartuje.

– Nie, dziękuję. To niedaleko, a potrzebuję trochę ruchu.

– Rozumiem, że chcesz zachować ładną figurę,

skoro jesteś zainteresowana atrakcyjnym mężczyzną.

– Babciu...

– Dobrze, dobrze. Już milczę. – Abigail spojrzała na swój zegarek z Myszką Miki. – Czas jechać po mojego przyjaciela. – Ruszyła do drzwi, ale jeszcze się odwróciła i wymierzyła w Brennę palec. – Tylko pamiętaj, że chcę mieć prawnuka, zanim będę za stara, by móc się nim cieszyć. A ten szeryf Antler...

– Chandler.

– Jak go zwał, tak zwał. – Abigail machnęła ręką.  
– Wygląda mi na wspaniałego kandydata na ojca.

I rzucając ten ostatni pocisk, Abigail wybiegła z pokoju tak energicznie, że aż zaszeleściły jej jaskraworóżowe falbanki, a pomarańczowe loki zatańczyły wokół głowy.

W ciepłe zimowe popołudnie, tak typowe dla zimy w południowo-zachodnim Teksasie, Brenna szła do centrum miasta. Ale piękno otoczenia nie podziałało na nią uspokajająco, chociaż nie miała w tej chwili głowy, by myśleć o babcinym zamiłowaniu do swatania. I bez tego nękała ją straszliwa trema. Miała wrażenie, że w brzuchu tańczy jej całe stadko motyli, i ledwie się powstrzymywała przed sięgnięciem po czekoladowy batonik.

Wzięła głęboki oddech. Zrobi to. Znajdzie w sobie odwagę. Przekaze swoją miłość do artystycznego rzemiosła kobietom z Tranquillity. Była to część

wielkiego planu, jaki sobie nakreśliła. Zamierzała zacząć wszystko od nowa i nie pozwoli, by brak pewności siebie przeszkodził jej w jego realizacji. Tom podczas ich trwającego cztery lata związku nieraz wyśmiewał jej marzenie o puszczeniu w ruch własnej firmy i prowadzeniu szkoły rzemiosł artystycznych. Mówił, że to głupie i nie rokuje żadnej nadziei na zysk. Aż zazgrzytała zębami na to wspomnienie. Przeszła już długą drogę od chwili, gdy rok temu Tom uznał, że ma więcej wspólnego z koleżanką ze szkoły prawa niż z nią. Ale jeszcze pozostało jej parę rzeczy do zrobienia. I miała szczerzy zamiar udowodnić mu, jak bardzo się mylił, odwołując ją od uczenia, a także utrzymując, że nigdy nie przełamie swojego nałogu pojadania czekolady, gdy jest zdenerwowana.

Dochodząc do świetlicy w ratuszu, zobaczyła co najmniej dwadzieścia kobiet tłoczących się przy wystawce, jaką urządziła kilka godzin wcześniej. Inne zajmowały już miejsca przy stolikach. Zachwycona takim odzewem, radośnie się uśmiechnęła. Żałowała tylko, że Tom tego nie widzi. Przekonałby się, jak bardzo nie miał racji.

– Moja droga, to najlepsza rzecz, jaka zdarzyła się w Tranquillity od dziesiątków lat – powiedziała pani Worthington. – Dzięki tobie nasze miasto stanie się prawdziwym ośrodkiem kultury. A tego właśnie rozpaczliwie mi brakowało, odkąd wyszłam za



Myrona i przyjechałam tu ze Wschodu.

Brenna uśmiechnęła się. Cornelia Worthington była żoną burmistrza i prezeską Towarzystwa Upiększania Miasta, a także niekwestionowaną przywódczynią kobiet. Od jej aprobaty zależało, czy Brenna odniesie sukces, czy nie.

– Dziękuję pani – powiedziała, zastanawiając się, jak taktownie wytłumaczyć, że rzemiosło artystyczne to nie ta sama kategoria sztuki co malarstwo Rembrandta czy Van Gogha. – Ale obawiam się, że za wiele pani po mnie się spodziewa. To, czego będę panie uczyła, jest raczej rzemiosłem niż sztuką.

– Och, co za słodka dziewczyna! – wykrzyknęła pani Worthington, odwracając się do otaczających ją kobiet.

– Utalentowana, a przy tym skromna. Tak się cieszę, że ją odkryłam i namówiłam do prowadzenia kursu.

Brenna popatrzyła na nią ze zdumieniem. Przecież to ona musiała błagać żonę burmistrza o pozwolenie na używanie świetlicy, którą już lata temu przywłaszczyło sobie Towarzystwo Upiększania.

– Moje panie, siadajcie proszę. Zaczynamy – obwieściła, idąc na przód sali.

– Mildred, czemu tak późno? – zawołała pani Worthington do kobiety, która właśnie wchodziła.

– Samochód mi się popsuł, ale na szczęście Dylan właśnie jechał do Luke'a na pokera i mnie podwiózł.

– Dylan! – wykrzyknęła pani Worthington głosem słodkim jak syrop. – To wspaniale widzieć, że mężczyzna też interesuje się sztuką.

Słyszając imię szeryfa, Brenna wzdrygnęła się i spojrzała w kierunku drzwi. Stał w progu, leniwie opierał się o framugę, na ustach miał butny uśmiezek. Jaki pewny siebie! – pomyślała ze złością. Tak samo się zachowywał podczas ich wcześniejszej konfrontacji.

Ale teraz byli na jej terenie i sprawy potoczą się całkiem inaczej.

Na widok Brenny Dylan z trudem przełknął ślinę. Jak ona pięknie wygląda! Już w jego biurze, w tym nietwarzowym, staroświeckim ubraniu była rozkoszna, ale dopiero teraz ukazała mu się w całej krasie.

Nie musiał już się zastanawiać, jak wygląda zaokrąglenie jej bioder, przedtem przykrytych metrami materiału, ani jak długie ma włosy. Niemal tego żałował, bo łatwiej byłoby mu się uporać z sytuacją.

Jej lekka niebieska bluzka łagodnie opinała pięknie zarysowane piersi, a biodra lekko się kołysały, gdy do niego szła. Miedziane włosy, przetykane pasemkami złota, ocierały się o talię i wydawały się takie miękkie, że ledwo powstrzymał się od muśnięcia ich ręką.

– Dylan, mój drogi, jesteś taki rozgorączkowany. – Mildred poklepała go serdecznie po ramieniu. – Dobrze się czujesz?

Do diabła, nie! Czuł się tak, jakby przebiegło po nim stado spanikowanego bydła. Musiał przełknąć ślinę, żeby wydobyć głos z zaschniętego gardła.

– Uch... pewnie. Nic mi nie jest.

Szybko rozejrzał się po sali, by sprawdzić, czy inne kobiety też zauważyły, jaki jest zmieszany. Niektóre ciekawie mu się przyglądały. Przeklął swojego pecha. Jeżeli te stare kwoki uznają, że jest zainteresowany Brenna, nie dadzą mu ani chwili spokoju.

Spojrzał na kobietę, która stała przed nim. Mildred Bruner była urzędniczką hrabstwa wydającą pozwolenia na śluby. Wszyscy dobrze wiedzieli, że jest nieuleczalną romantyczką. Gdziekolwiek szła, zawsze miała przy sobie zestaw formularzy na wypadek, gdyby ktoś nagle poczuł wolę bożą.

Przestąpił z nogi na nogę. Jeżeli natychmiast się stąd nie wyniesie, Mildred zacznie grzebać w swojej teczce, a jutro z samego rana wszyscy w mieście będą się zakładać, już nawet nie o to, czy ślub się odbędzie, lecz tylko o termin.

Dylan w duchu użył wszystkich przekleństw, jakie znał. On nie szuka żony, a nawet gdyby, to Brenna Montgomery nigdy nie byłaby odpowiednią kandydatką.

– Mildred, będę u Luke'a, gdybyś chciała, żebym cię odwiózł do domu.

Policzki mu zapłonęły, gdy spostrzegł, że kilka kobiet patrzy na niego porozumiewawczo. Jeżeli nawet do tej pory nie zauważyły, co się z nim dzieje, teraz już na pewno wiedzą. Jego głos od czasów dojrzewania nie brzmiał tak nierówno.

– Szeryfie, nie zostaje pan na lekcji? – spytała Brenna, gdy już szedł do drzwi.

Dylan stanął jak wryty. Nie wierzył własnym uszom. Brenna Montgomery naprawdę chce, by uczestniczył w jej lekcjach.

– Nie – warknął, odwracając się do niej.

– Szkoda. Wielu utalentowanych rzemieślników to mężczyźni.

Postąpiła krok ku niemu. On cofnął się o krok. Co ta kobieta knuje?

Brenna w zamyśleniu przechyliła głowę na bok i zmierzyła go wzrokiem.

– Oczywiście, niektórym brakuje zręczności w rękach i cierpliwości, jakich wymagają techniki rzemiosła.

Jej wyzwanie dotknęło go do żywego. Gdy znów zbliżyła się o krok, wziął ją za rękę.

– Och, panno Montgomery, jestem pewny, że mógłbym opanować dowolną technikę. No i jestem bardzo cierpliwy.

W momencie gdy ich ręce się zetknęły, Dylana

przeszył dreszcz, a ciśnienie mu skoczyło. Ale duma nie pozwoliła mu się wycofać.

– Nigdy nie miałem kłopotów ze zrobieniem rękami wszystkiego, co chciałem – zapewnił, cedząc prowokacyjnie słowa. – I nikt nigdy się nie skarżył, że nie osiągnąłem satysfakcjonującego rezultatu.

Brenna wyrwała rękę gwałtownie.

– Szeryfie, miło, że pan wpadł, ale teraz proszę mi wybaczyć. Muszę poprowadzić lekcję. Jestem pewna, że sam pan trafi do drzwi.

Dylan wiedział, że odwrócił sytuację na swoją korzyść. Mógłby jej zresztą powiedzieć, że ten dotyk wzburzył go tak samo jak ją. Ale prędzej go szlag trafi, niż to zrobi. To ona zaczęła konfrontację, a on zamierzał wyjść z niej zwycięsko.

– Gdzie mam usiąść?

– Pan... chyba nie zamierza zostać?

– Owszem, zamierzam. – Widząc jej szok, nawet nie próbował ukryć uśmiešku zadowolenia.

– Och, cudownie! – wykrzyknęła Cornelia, klaszcząc w pulchne ręce, by przyciągnąć uwagę kobiet. – Teraz, gdy Dylan też będzie uczestniczył w lekcjach, bez kłopotu przekonamy naszych mężów, by oni także choć trochę zainteresowali się kulturą. Zamierzam o tym porozmawiać z Myronem jeszcze dziś, i zachęcam was, moje panie, byście i wy porozmawiały z waszymi mężami.

Triumfalny uśmiech spełził Dylanowi z ust. Co za

głupiec z niego! Na śmierć zapomniał o mężczyznach u Luke'a. Gdy dowiedzą się, że bierze udział w lekcjach sztuki, nie będzie miał z nimi życia.

Poza tym bezpowrotnie straci wtorkowego pokera, a za to będzie musiał słuchać słodkiego głosu Brenny, patrzeć na jej jedwabiste rude włosy muskające kształtną pupę...

Zdjął kapelusz, położył go strategicznie na kolanach i zajął miejsce. Ale gdy spojrzął na Brennę, humor mu się poprawił. W tej całej fuszerce, do jakiej sam doprowadził, była jednak jedna dobra rzecz: jej oszołomiona mina.

Brenna Montgomery wyglądała tak, jakby właśnie usiadła na trzmielu.

## Rozdział 2

Brenna odwróciła się i powoli przeszła na przód sali. Co ona najlepszego narobiła? Przecież szeryf już zbierał się do wyjścia. I poszedłby sobie, gdyby tyle nie gadała.

Ale nie. Nie pozwoliła mu na to. Chciała wyrównać rachunki za popołudniową scysję, spróbowała być asertywna, no i proszę, jak się urządziła! Praca nad sobą, przemiana w silniejszą, bardziej pewną siebie kobietę to trudne zadanie. I właśnie przegięła za bardzo w drugą stronę.

Przysiadła na brzegu stołu, próbując uporządkować rozbiegane myśli. Obecność szeryfa nie pomagała uspokoić rozedrganych nerwów. Była tak wzburzona, że sprzedałaby duszę za czekoladowy batonik.

– A więc, szanowne panie... i szanowny panie – zaczęła, patrząc wszędzie, tylko nie na tego mężczyznę, który od pierwszej chwili, gdy go poznała, doprowadzał ją do białej gorączki. – Oto lista rzeczy, które będą wam potrzebne.

Zanim skończyła wszystko wyjaśniać, czas lekcji dobiegł końca.

– Czy są jeszcze jakieś pytania? – Gdy nikt się nie odezwał, uśmiechnęła się. – Nie? No to dziś skończymy wcześniej. Wszystkie materiały mam w swoim sklepie. Proszę do mnie wstąpić, a pomogę

paniom wybrać to, czego będziecie potrzebowały w przyszłym tygodniu.

Wychodząc, wiele pań mówiło jeszcze Brennie, jak bardzo są zachwycone możliwością uczęszczania na kurs, a także jej nowym sklepem. To podniosło ją na duchu. Gdy szła do domu w ciepły listopadowy wieczór, już nie myślała o incydencie z szeryfem.

Dziś udało jej się osiągnąć dwa ważne cele. Zainteresowała wielu ludzi swoim sklepem, i – co ważniejsze – znalazła w sobie odwagę, by stanąć przed klasą i uczyć. Chciałaby tylko, żeby Tom tu był i zobaczył, jaką drogę przeszła przez ten rok od chwili, gdy ją rzucił, i jak bardzo się mylił, wyśmiewając jej ambicje.

Myśląc o mężczyźnie, który tak ją niszczył, zarówno emocjonalnie, jak i finansowo, aż się wzdrygnęła. Jak mogła być taka naiwna, taka ślepa na jego wady?

– Panno Montgomery, czy można zamienić słówko? – spytał zza jej pleców męski głos, a jednocześnie czyjaś ręka chwyciła ją za ramię.

Jej przerażony krzyk odbił się echem w wyludnionych ulicach Tranquillity. Zawirowała na pięcie i cisnęła torbą w kierunku najwrażliwszego miejsca napastnika.

– Kobieto, uspokój się! – Dylan zręcznie uskoczył na bok. – To tylko ja.

– Szeryf Chandler! – Przycisnęła ręką tłukące się



serce i spiorunowała go wzrokiem. – Czy w tej miejscinie wszystkich mężczyzn podnieca przerażanie kobiet na śmierć?

Dylan podszedł bliżej i założył kciuki za pasek spodni.

– Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział, ciesząc się, że był dość szybki, by uskoczyć. Gdyby mu się to nie udało, leżałby teraz na chodniku, czując, że tylko śmierć wybawi go od bólu. – Po prostu próbowałem porozmawiać z tobą prywatnie.

– Chcesz zrezygnować z lekcji? – spytała z nadzieją.

O niczym innym nie marzył. Ale nie da jej tej satysfakcji.

– Nie. Myślę, że uczenie się malowania sprawi mi wielką przyjemność – skłamał.

Jej pełen nadziei uśmiech znikł.

– To miło, szeryfie. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść.

Dylan zmarszczył czoło. Już drugi raz usiłowała się go pozbyć.

– Nie tak szybko, panno Montgomery. Musimy porozmawiać o tym, co się zdarzyło dziś po południu.

Pokręciła głową.

– Naprawdę nie widzę takiej potrzeby. Powiedziałam panu, co się wydarzyło. A pan dał mi wyraźnie do zrozumienia, że moja reakcja była

bardzo przesadzona.

Dylan przed dłuższą chwilę patrzył na jej wzburzoną twarz. Naprawdę jest najładniejszym kłopotem, jaki mu się przydarzył od wielu lat. W jej szczyrych niebieskich oczach malowała się inteligencja, którą uznał za bardzo seksowną, a wargi wygięte w łuk Kupidyna aż się prosiły o pocałunek.

Od tych dziwacznych myśli żołądek skrzył mu się w supeł. Jeżeli szybko się ich nie pozbędzie, w końcu rzeczywiście popadnie w wielkie kłopoty. A już raz coś takiego przeżywał i nie zamierzał tego powtarzać. Wziął głęboki oddech.

– Chodźmy porozmawiać przy kawie.

– Ale przecież miał pan odwiedzić Mildred Bruner do domu.

– Corny... pani Worthington zabrała ją i wszystkie pozostałe kobiety. Mówiły coś o pilnym spotkaniu T. U. M.

– Co to jest?

– Towarzystwo Upiększania Miasta. Spotykają się raz czy dwa razy w miesiącu i dzielą najnowszymi plotkami.

– Wygląda na to, że w tym mieście żadna tajemnica długo się nie utrzyma.

– To, że każdy wie o tobie wszystko, jest jednym z uroków mieszkania w małym miasteczku. – Położył jej rękę na plecach i pokierował do baru Luke'a. Od kontaktu z jej ciałem znów zamrowiło go ramię.

– Chwileczkę, szeryfie! – Brenna zesztyniała pod jego dotykiem. – Dlaczego nie możemy porozmawiać tutaj?

Przebiegł ją lekki dreszcz. Dylan wiedział, że nie jest to spowodowane chłodnym jesiennym wieczorem.

Dobry Boże. Przynajmniej nie tylko jego poruszył ten dotyk.

– Okazałbym złe wychowanie, każąc ci stać tu na tym zimnie. Już drżysz – dodał, usiłując ukryć pewny siebie uśmiech.

Wchodząc do baru, Brenna poczuła się tak, jakby cofnęła się w przeszłość. Ściany były udekorowane listami gończymi z końca dziewiętnastego wieku, czaszkami krów, kajdankami, strzemionami, skórzaną uprzężą. Salę oświetlały stare, podłączone teraz do prądu latarnie, zwisające z podczepionych do sufitu kół od powozów.

– Pradziadek Luke'a otworzył ten saloon na przełomie wieków – powiedział Dylan, widząc jej zainteresowanie.

– A Luke prawie niczego tu nie zmienił. Ma bardzo uczuciowy stosunek do swojego baru. – Podprowadził Brennę do stojącego w kącie stolika i pomógł jej usiąść. – Jaką kawę pijesz?

– Ze śmietanką.

Patrzyła, jak Dylan idzie do kontuaru. Od tyłu wyglądał tak samo dobrze jak z przodu. Miał

najszersze bary, najdłuższe nogi, najzgrabniejsze pośladki...

Zaszokowana kierunkiem, jaki przybrały jej myśli, szybko spojrzała w inną stronę. Musiała stracić rozum! Przecież Dylan Chandler w ogóle jej nie interesuje. Absolutnie. W żadnym wypadku.

– Proszę – powiedział, wracając z kawą. Postawił dwa kubki na stole i usiadł naprzeciwko niej.

Brenna nerwowo popijała gorącą kawę. Nie chciała siedzieć tu z Dylanem. Coś w tym mężczyźnie powodowało, że wewnątrz cała drżała. Jeszcze chwila i będzie musiała poszukać automatu z czekoladą.

– Więc o co chodzi, szeryfie? – spytała niecierpliwie.

Uśmiechnął się, a jej serce wywróciło koziółka.

– Dziś po południu odniosłaś mylne wrażenie i chciałbym to naprostować. – Już zamierzała mu przerwać, ale uciszył ją podniesioną ręką. – Wcale nie uważam, że sprawa jest bez znaczenia. Tyle że to małe miasteczko i ludzie mają małomiasteczkowe obyczaje. Gdy ktoś się tu wprowadza, wszyscy serdecznie go witają. – Zachichotał. – Ludzie zachowują się przeważnie bardziej subtelnie niż Pete, ale mogę cię zapewnić, że miał najlepsze intencje.

Gdy wyszłaś z mojego biura, pogadałem z nim. Było dokładnie tak, jak myślałem. On tylko chciał, żebyś poczuła się pełnoprawnym członkiem naszej

społeczności.

– Przecież to dla mnie zupełnie obcy człowiek. Zresztą, skąd mogłam wiedzieć o waszych sąsiedzkich tradycjach?

– Nie wątpię, że się zdenerwowałaś – zgodził się. – Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– Nie? A o czym?

– Chyba masz prawo się dowiedzieć, dlaczego tak bronię Pete'a.

– No więc słucham, szeryfie.

– Możesz z tym skończyć? – Z powodów, jakich wolał za bardzo nie roztrząsać, chciał, żeby tym swoim aksamitnym głosem wymówiła jego imię. – Mów do mnie Dylan.

– Dobrze... Dylanie. Dlaczego jesteś taki opiekuńczy w stosunku do Pete'a?

Próbując zebrać myśli, powoli odstawił kubek na stół. Chyba głupio zrobił, prosząc ją o to. Bo gdy usłyszał, jak wymawia jego imię, ciśnienie mu skoczyło, a w ustach zaschło.

– Może pamiętasz, jak mówiłem, że znam Pete'a całe życie – powiedział wreszcie. – Właściwie mieszkamy razem.

Dylan zamilkł. Bał się tego, co teraz musi powiedzieć. Lepiej byłoby, gdyby Brenna dowiedziała się o tym od kogoś innego. Ale i tak dowie się wystarczająco szybko.

Odchrząknął i napotykając jej pytające spojrzenie,

oznajmił:

– Pete Winstead to mój wujek.

– Ach. Teraz rozumiem, czemu z takim uporem twierdzisz, że jest nieszkodliwy. Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś?

Z uczuciem ulgi, że Brenna niczym w niego nie rzuciła, uśmiechnął się.

– Mówiąc prawdę, byłem wściekły. Od lat go ostrzegałem, że w końcu jego zachowanie się komuś nie spodoba. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie myślę, że od teraz Pete będzie witał ludzi mniej entuzjastycznie.

Było mu bardzo przykro, że tak cię przestraszył, i prosił, bym przy pierwszej okazji jakoś załagodził sprawę.

– Potrafię zrozumieć twoją frustrację – powiedziała.

– Sama mieszkam z ekscentryczną krewną. Mam nadzieję, że Pete nie jest za bardzo zdenerwowany.

Uśmiechnęła się i Dylan poczuł się tak, jakby ze szczęścia ulatywał pod samo niebo.

– Nie przejmuj się nim. – Dylan aż się wzdrygnął, słysząc swój ochrypły głos. Odchrząknął. – Szybko się otrząśnie. Nic nie potrafi go na długo załamać.

– To zupełnie tak jak z moją babcią. – Z uśmiechem pokiwała głową. – Chociaż nie. Drugiej takiej osoby nie ma na całym świecie.

– Nie jest typową kołyszącą się na bujanym fotelu

staruszką?

– Och, absolutnie nie – roześmiała się Brenna.

Dylan znów poczuł, jak wszystko się w nim burzy. Na czoło wystąpił mu pot. Brenna tak cudownie się śmieje. A te usta... są wprost stworzone do pocałunków.

Zmarszczył czoło. Co się z nim dzieje? Dlaczego tak na nią reaguje? Przecież ona jest prawdziwym dopustem bożym. Najpierw ma za złe wujkowi Pete'owi podtrzymywanie czterdziestoletniej tradycji, a zaraz potem zmusza go, by zrezygnował z wtorkowego pokera – rytuału, którego nie opuścił od dobrych dziesięciu lat – na rzecz lekcji malowania.

Dylan nie miał najmniejszych wątpliwości. Ta kobieta to prawdziwy kłopot. I dobrze zrobi, jeżeli będzie o tym pamiętał. Nagle uświadomił sobie, która jest godzina. Za chwilę poker się skończy, kumple wyjdą z tylnej salki i zaczną się dopytywać, czemu nie przyszedł. A to była ostatnia rzecz, której by sobie życzył.

– Coś się stało? – spytała Brenna. – Nagle tak spochmurniałeś.

– Eee, nie. Po prostu robi się późno. Powinniśmy już iść.

Pomógł jej wstać, znów odczuwając dreszcze, gdy ich ręce się spotkały. Może i Brenna stanowi wielki kłopot, ale i tak chciałby ją wziąć w ramiona i całować do utraty tchu.

– Gdzie zaparkowałaś samochód?

– Babcia go ode mnie pożyczyła na cały wieczór. – Spojrzała na zegarek. – Ale teraz już chyba jest w domu.

Do zobaczenia na następnej lekcji.

Dylan chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

– Dotarłaś tu na piechotę?

Skinęła głową, wyswobadzając się jednocześnie z jego uścisku.

– Tak, przecież mam blisko.

– Jest już ciemno.

– Na ogół jest ciemno, gdy zapada noc – odparła sucho. – Więc o co ci chodzi?

– Lepiej, żebyś nie chodziła sama po ciemku.

– Dylan, przecież sam przez ostatnie pół godziny tłumaczyłeś mi, jakim przyjacielskim miejscem jest Tranquillity. A teraz mówisz, że niebezpiecznie chodzić tu ulicami? – Skrzyżowała ręce na piersi i spiorunowała go wzrokiem. – Więc jak to właściwie jest? Zdecyduj się na coś, szeryfie.

– Przeważnie Tranquillity jest bardzo bezpiecznym miasteczkiem – przyznał, próbując nie patrzeć na jej wyraźnie odznaczający się nad skrzyżowanymi rękami biust. – Ale od czasu do czasu jakiś kowboj z pobliskiego rancza wypije za dużo i zaczyna mu się wydawać, że jest ucieleśnieniem donzuana.

Wziął ją za łokieć i pociągnął do swojego odrestaurowanego chevroleta pikapa z 1949 roku.



– Już złożyłaś dziś skargę. Wolę uniknąć powtórek.  
– Zostaw mnie – powiedziała z uporem. – Wolę się przejść.

Popatrzył na nią. Do diabła, co za zadziorne stworzenie. Ledwo się powstrzymywał, by jej nie pocałować. Otworzył drzwi samochodu, chwycił Brennę w pasie i posadził na fotelu.

– Co ty robisz? – pisnęła.

– Odwożę cię do domu – wyjaśnił uprzejmie, wdrapując się na fotel kierowcy.

– Nie ma takiej potrzeby – warknęła. – Doskonale sama potrafię o sobie zadbać.

– Jasne.

– Czy ty tu wszystkimi rządysz? – spytała wściekle.

Dylan policzył do dziesięciu, potem do dwudziestu.

Gdy doszedł do trzydziestu, poddał się.

– Kobieto, ty nawet Hioba mogłabyś wyprowadzić z równowagi. Skarżysz się na niewinny, przyjacielski pocałunek starego mężczyzny, a potem chcesz chodzić sama po ciemku i narażać się na wszelkiego rodzaju kłopoty.

– Na nic się nie narażam.

– Owszem, narażasz się.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył tak gwałtownie, że spod kół prysnął żwir. Aż się wzdrygnął na myśl, że mógł zarysować lakier.

Spędzili z ojcem wiele lat przy restauracji tego zabytkowego chevroleta. Jeśli ojciec patrzy teraz na niego z nieba, pewnie zaraz wypuści kilka błyskawic z piorunami oburzony brakiem szacunku, z jakim jego syn traktował ich ukochany pojazd.

To wszystko wina tej kobiety. Doprowadzała go do szaleństwa.

Brenna z wściekłością patrzyła przez okienko. Dylan zapewne miał rację. Chodzenie po ciemku to nie najlepszy pomysł, ale głośno tego nie przyzna.

Dlaczego mężczyźni zawsze uważają, że lepiej wiedzą, co dla kobiety jest dobre? Dlaczego myślą, że kobieta sama nie potrafi podejmować właściwych decyzji?

Tom zawsze taki był, zawsze próbował jej mówić, co powinna robić. A teraz okazuje się, że Dylan Chandler został odlany w tej samej formie.

Wreszcie stanęli przed jej domem.

– Dziękuję za podwiezienie. Ale muszę ci powiedzieć, szeryfie, że masz obyczaje godne neandertalczyka. Ja...

– Może i tak – przerwał jej. – Mimo to z dumą oświadczam, że ja, jaskiniowiec, mogę dziś iść spać z czystym sumieniem. – Gdy spojrzała na niego pytająco, miał czelność się uśmiechnąć. – Bo dopilnowałem, żebyś bezpiecznie znalazła się w domu.

– Uważaj, bo zaraz zaczniesz recytować kodeks rycerski rodem prosto z Okrągłego Stołu – parsknęła, sięgając do klamki.

Chwycił ją za rękę i pochylił nad nią.

– Nie ma nic złego w tym, że mężczyzna chroni kobietę przed niebezpieczeństwem, którego ona przez swój upór albo naiwność nie dostrzega.

– Kobieta, o której mowa, może mieć czarny pas w kratę i być jak najbardziej zdolna do zadbania o swoje bezpieczeństwo – zablefowała, usiłując nie zwracać uwagi na dreszcz spowodowany jego dotykiem i bliskością. Jego usta były tylko o centymetry od jej ust. Potrzebowała więcej przestrzeni. – Doceniam twoją troskę, ale...

– Ciii – szepnął Dylan i nawet nie wiedząc, jak to się stało, już ją całował.

Najpierw tylko delikatnie muskał jej wargi, sprawdzając, czy ona chce, by pieszczota trwała. Ale gdy obrysował jej usta językiem, wszelkie myśli o oporze ulotniły się Brennie z głowy. Przyciągnął ją do siebie, a ona miękko mu się poddała, chociaż Dylan był ostatnim mężczyzną, z którym byłoby bezpiecznie się całować – jak podszeptował cichy głosik rozsądku. Był arogancki, chciał wszystko kontrolować, stanowił wprost modelowy przykład macho. Ale całował tak, jak jeszcze nigdy w życiu nikt jej nie całował. Głos rozsądku ucichł.

A Dylan, porwany namiętnością, pewnie

posunąłby się za daleko. Niestety, w żebra boleśnie wpijała mu się kierownica i to mu przypomniało, gdzie jest. Od czasów szkolnych nie całował się z dziewczyną w samochodzie. Przez moment pożałował, że nie siedzą w explorerze. Miałby więcej miejsca do manewrów. Z drugiej strony może i dobrze się stało, bo już sobie wyobrażał, z jaką uciechą Corny i jej kwoki strzepiłyby sobie języki, plotkując o szeryfie, który zabawia się w radiowozie z nową nauczycielką malarstwa.

Jednak i tak minęła długa chwila, zanim zaczął odzyskiwać zmysły. Niechętnie oderwał się od Brenny. Całował w swoim życiu wiele kobiet, ale nic nie równało się z tym, czego właśnie doświadczył. Na dziesięciostopniowej skali wskazówka przekraczała co najmniej dwadzieścia. Drżącymi rękami objął tył głowy Brenny i wtulił ją w swoje ramię.

– To nie powinno było się zdarzyć – szepnęła bez tchu.

– Nie, nie powinno – przyznał uczciwie.

Do diabła, co on wyprawia! Ta kobieta stanowiła kłopot od czubka swojej ślicznej główki aż po palce małych stopek. A on już dostał dobrą naukę pięć lat temu.

Najlepsze, co może teraz zrobić, to dopilnować, by bezpiecznie znalazła się w domu, a potem natychmiast odjechać.

– Odprowadzę cię do drzwi – powiedział, wypuszczając ją z objęć.

– Nie trzeba.

– Tato już dawno temu kazał mi obiecać, że zawsze będę postępował jak dżentelmen. A to obejmuje również odprowadzenie damy do drzwi.

– Wcale nie musisz...

– Muszę – upierał się. – Jesteś damą. Damę odwozi się do domu i odprowadza pod same drzwi.

Na stopniach ganku spojrział na nią i poczuł się tak, jakby dostał cios prosto w splot słoneczny. Tak właśnie powinna zawsze wyglądać: rozmarzona, z lekko potarganymi przez jego palce włosami, z rumieńcem pożądania barwiącym jej porcelanową cerę.

Musiał do reszty stracić rozsądek, ale wcale nie żałował, że to on właśnie był mężczyzną, który doprowadził ją do takiego stanu. Jednak musi natychmiast uciekać, bo inaczej znów zrobi coś głupiego, na przykład jeszcze raz ją pocałuje.

Już miał się pożegnać, gdy na ganku zapaliło się światło, niemal go oślepiając.

– Brenna, to ty?

– Bardzo dobrze wiesz, że tak – mruknęła.

Na ganek wyszła starsza kobieta, mniej więcej w wieku wujka Pete'a.

– Pewnie, że wiem – powiedziała, puszczając oczko do Dylana. – Ale skoro najwyraźniej nie

zamierzasz zaprosić tego przystojnego młodego człowieka do domu, musiałam mieć jakąś wymówkę, by wyjść i go zobaczyć.

Dylan zdjął kapelusz i wyciągnął rękę.

– Jestem Dylan Chandler, proszę pani. Miło mi panią poznać.

– A ja jestem Abigail Montgomery. Wejdzie pan na chwilę? – spytała, potrząsając jego ręką i uśmiechając się złośliwie do Brenny.

Brenna tak mocno zacisnęła palce na pasku torebki, że aż dziwne, że go nie rozdarła. Uśmiech babki i zachwyty malujący się w jej oczach zwiastowały dni dokuczliwych pytań i mało subtelnych aluzji.

– Babciu, szeryf Chandler na pewno ma pilne sprawy do załatwienia. – Spojrzała na Dylana znacząco. – Prawda, szeryfie?

Skinał głową.

– Może innym razem, pani Montgomery.

– Więc trzymam pana za słowo – odparła Abigail, uśmiechając się miło. – Może Brenna któregoś dnia ugotuje panu kolację.

Brenna ze zdumienia aż otworzyła usta.

– Zamknij buzię, dziecko, bo wpadnie ci mucha – poradziła jej babcia.

– Będę się już żegnał, a panie nich wejdą do domu – stwierdził Dylan, dając do zrozumienia, że mu się naprawdę spieszy.

– Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie – powiedziała Brenna, gdy babcia dała jej kuksańca łokciem.

– Nie ma za co. Dobranoc paniom.

– Dobranoc! – odkrzyknęła Abigail. A gdy Dylan odjechał, pchnęła Brennę przez drzwi. – No, masz mi sporo do opowiedzenia. I ostrzegam cię. Tym razem żądam szczerzej prawdy.

– Nie ma nic do opowiadania – mruknęła Brenna, zamykając drzwi i zakładając łańcuch.

– Och, jest, i to dużo – parsknęła Abigail. – Mówiłaś, że Darren Chancellor ci się nie podoba.

– Dylan Chandler.

– Jak się zwał, tak się zwał. – Abigail machnęła ręką.

– Mówiłaś, że nie jesteś nim zainteresowana.

– Bo nie jestem.

– Nie opowiadaj głupstw!

– Dylan tylko odwiózł mnie do domu. – A widząc niedowierzające spojrzenie babki, dodała: – Nie jest w moim typie.

– Bzdura! – roześmiała się Abigail. – Wzdychasz tak, że aż okna zachodzą parą. Ale wcale ci się nie dziwię. To najseksowniejszy chłopak, jakiego widziałam od lat.

Gdy babcia zaczęła nucić marsz weselny, Brenna odwróciła się na pięcie, poszła do swojego pokoju i zatrzasnęła z hukiem drzwi. Opadła na łóżko,

pogrzebała w szufladzie nocnego stolika, aż wreszcie znalazła to, o czym od wielu godzin marzyła. Zdjęła sreberko i wgryzła się w czekoladowy baton.

Czując w ustach tę aksamitną słodycz, głęboko westchnęła. Mieszkanie z babcią już niejedną raz naraziło ją na kryzys nerwowy. Obawiała się, że teraz, gdy na horyzoncie pojawił się Dylan Chandler, będzie jeszcze gorzej. Jak ona to wytrzyma?



## Rozdział 3

Dylan siedział z brodą opartą na rękach. Minęły cztery dni, odkąd zgodził się uczestniczyć w lekcjach Brenny. Cztery dni, odkąd odwiózł ją do domu. I cztery dni, odkąd do niczego właściwie się nie nadawał.

Och, oczywiście, pracował jak zawsze. Tyle że częściej, niż chciałby się do tego przyznać, zaczynał wpatrywać się w przestrzeń. Tak jak teraz.

Pocałował ją, bo chciał, by zamilkła. Ale to jemu potem zabrakło słów.

Pokręcił głową i znów spróbował skoncentrować się na papierach, które sobie rozłożył na biurku. Gdy poprzednio pozwolił, by zawładnęły nim hormony, zrobił z siebie kompletnego idiotę. Nie dopuści do czegoś takiego ponownie. A najlepszym sposobem, by tego uniknąć, jest oddalenie się od pokusy.

W następny wtorek zamiast iść na tę cholerną lekcję malowania, spotka się jak zwykle z kumplami u Luke'a i będzie robił to, co zawsze: zagra z nimi w pokera na zapleczu baru.

Podjąwszy tę decyzję, zabrał się do papierkowej roboty. Ale nie zdążył jeszcze przeczytać pierwszej strony, gdy do biura wpadł Myron Worthington i z impetem rzucił się na krzesło.

– Chłopcze, szykują nam się wielkie kłopoty!

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Dylan spokojnie. Był przyzwyczajony do nagłych wybuchów burmistrza.

– Bo Cornelia i jej kwoki coś knują! – Myron zaczął bezwiednie bawić się swoim krawatem bolo . To był jego stały nawyk w chwilach, gdy mówił o żonie. Ale tym razem szarpał i zaciskał rzemyk z całej siły. Jeszcze chwila, a się udusi, pomyślał Dylan.

– Czyżby Towarzystwo Upiększania miało jakieś bardziej skomplikowane plany na jasełka?

Myron nerwowo potaknął.

– Dziś rano przy śniadaniu Cornelia powiedziała, że całkowicie odmienia Main Street, a potem będą przygotowywać coś specjalnego na każde święta!

Dylan oparł się wygodnie w krzesło, założył ręce za głowę i położył nogi na biurku.

– Towarzystwo istnieje już co najmniej dwadzieścia lat i przez ten czas jeszcze nic nadzwyczajnego nie zrobiło – tłumaczył, usiłując uspokoić burmistrza. – Spotykają się raz w tygodniu na plotki, a poza tym jedynie przygotowują ciasteczka i poncz na jasełka i decydują, kogo zmuszą do odegrania roli elfów w czasie, gdy ty jako święty Mikołaj rozdajesz dzieciom prezenty. Dlaczego uważasz, że w tym roku zrobią coś niezwykłego?

– Bo Cornelia mi powiedziała, że szykują jakieś

artystyczne hocki-klocki, których uczą się na lekcjach malowania – wyjaśnił Myron.

Na wspomnienie lekcji Brenny Dylanowi zacisnął się żołądek.

– Mówiła ci, co planują?

– Nie. I to najbardziej mnie niepokoi. – Myron zdjął kapelusz i przejechał ręką po łysej głowie. – Dopóki Cornelia tylko gada, nie ma się czego obawiać. Ale gdy w końcu milknie, trzeba się dobrze pilnować.

– A powiedziała ci, kiedy zaczynają?

– Też nie. I tu właśnie zaczyna się twoje zadanie.

– Moje? A co ja mam z tym wspólnego?

– Chodzisz na lekcje, prawda?

– Nie.

– Przecież Cornelia mówiła, że chodzisz.

Dylanowi zaczynało się robić gorąco.

– Byłem tam we wtorek, ale więcej nie pójdę.

– Musisz.

– Dlaczego? – Dylana piekła już twarz.

Myron wstał i zaczął nerwowo przemierzać gabinet.

– Musimy się dowiedzieć, co nam szykuje T. U. M.

I kiedy zamierzają zacząć.

– Więc spytaj żonę – poradził Dylan rozsądnie.

Myron zatrzymał się i spojrzał na Dylana tak, jakby wyrosły mu rogi i ogon.

– Chłopcze, ty nie masz pojęcia, jakie są kobiety, co?

Dylan roześmiał się.

– Wiem dosyć, by jakoś sobie radzić.

– Nie chodzi mi o przygadanie sobie dziewczyny – wyjaśnił z rozpaczą Myron. – Mówię o ich sposobie myślenia.

– A jak one myślą?

Myron w desperacji zacisnął pulchne ręce.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem! Żyję z Cornelią już trzydzieści lat i ciągle jeszcze tego nie wykryłem.

Ale wiem, że gdy coś sobie postanowi, nie ma siły, by ją od tego odwieść. A teraz uparła się, że odmieni Main Street.

– No to musisz zdobyć informacje w jakiś inny sposób – powiedział stanowczo Dylan. – Ja nie chodzę z nauczycielką.

– Wobec tego powinno ci być jeszcze łatwiej – stwierdził Myron z ulgą.

– Zapomnij o tym. – Dylan pokręcił głową. – Nie wracam na lekcje.

Myron spojrzał na niego poważnie.

– Bardzo żałuję, chłopcze, ale chyba nie ma innego sposobu.

Dylanowi żołądek zacisnął się w węzeł. Wiedział, do czego zmierza burmistrz. Ale zanim zdążył go powstrzymać, Myron kontynuował:

– Jako burmistrz i twój szef daję ci stanowczy

rozkaz, byś nadal uczęszczał na lekcje i dowiedział się, co te kwoki planują. Bo inaczej Tranquillity stanie się pośmiewiskiem całego cholernego stanu.

Wydawszy ten rozkaz, Myron włożył kapelusz na łysą głowę i krokiem godnym malutkiego, okrągłutkiego monarchy wyszedł z gabinetu.

Dylan wsparł się łokciami na biurku i ukrył twarz w rękach. Niech to wszystko trafi szlag! Rola szpiega nie była w jego stylu. A spotkanie Brenny w każdy wtorek wcale mu nie pomoże zapomnieć o pocałunku.

Ale rozkaz to rozkaz. Zawsze był dumny ze swojej pracy i nie zamierzał z niej rezygnować. Tak więc nie miał innego wyboru, jak tylko się podporządkować.

Brenna wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i przygotowała się na kolejną konfrontację z babcią. Od spotkania z Dylanem cztery dni temu Abigail porzuciła wszelkie starania, by zachować się subtelnie, i posunęła się nawet do tego, by przedyskutować z Brenna liczbę gości na ślubie.

– Jestem w bawialni! – zawołała, gdy Brenna weszła do kuchni. – Chodź zobaczyć, kto nas odwiedził.

W bawialni na kanapie obok Abigail siedział Pete Winstead. Na widok Brenny uśmiechnął się serdecznie, przygładził potargane włosy i włożył z powrotem zniszczony kowbojski kapelusz.

– Miło cię znów widzieć, Brenno.

Brenna patrzyła ze zdumieniem, jak babcia klepie Pete<sup>^</sup> po udzie.

– Wstąpił, żeby przeprosić za to, że tamtego dnia tak cię przestraszył – oświadczyła. – Prawda, Pete?

– Ee... tak. – A gdy dodał: – Bardzo mi przykro, że cię tak przestraszyłem – Brenna pomyślała, że nie widać po nim najmniejszej skruchy.

– Jak mogłaś w ogóle pomyśleć, że ten stary koziół mógłby cię skrzywdzić! – Abigail zmierzyła Pete'a wzrokiem, objęła Brennę i uśmiechnęła się nieśmiało. – Na to jest już od dawna za stary. Teraz co najwyżej może sobie powspominać dawne przyjemności.

– Babciu! – wykrzyknęła Brenna, rumieniąc się.

Pete wstał i uśmiechnął się szeroko.

– Och, nie przejmuj się, dziewczyno. – Zdjął kapelusz i wskazał swoją gęstą siwą czuprynę. – Pozory mogą mylić, cukiereczku. Może i na dachu leży śnieg, ale w palenisku ogień ciągle jeszcze buzuje.

– Zupełnie jakbym nie wiedziała – parsknęła Abigail.

Pete roześmiał się.

– Pójdiesz dziś ze mną do Luke'a, cukiereczku?

W soboty zbiera się tam sporo ludzi, zawsze znajdzie się kilku grających na gitarze i skrzypkach. Muzyka wcale nie jest taka zła, a poza tym wszystko jest lepsze niż siedzenie w domu.

– Wspaniały pomysł! – wykrzyknęła Abigail. – Z przyjemnością przyjdziemy.

Brennę ogarnęła złość. Babcia nie tylko umawia się na randkę z Pete'em, ale i ją do tego włącza.

– Nie wydaje mi się...

– Brenno, potem porozmawiamy. – Abigail szybko poprowadziła Pete'a do drzwi. – Jeżeli to wykopalisko zaraz sobie nie pójdzie, nie zdążymy się przygotować na czas.

– Wykopalisko! – Pete roześmiał się, wychodząc na ganek. – Nie jestem wiele starszy od ciebie, cukierczku.

Poczekaj tylko do wieczora. Nóg nie będziesz czuła od tańca.

– Pewnie wszystkich tam pokopie – mruknęła Abigail, idąc do swojego pokoju. – Ciekawe, jakie ciuchy pasują do takiego lokalu jak U Kuka?

– U Luke'a – poprawiła Brenna. – Ten bar nazywa się U Luke'a.

– Jak go zwał, tak zwał. – Abigail zbyła sprawę machnięciem ręki. – Ach, ten Pete! Mnie będą bolały nogi?

Niedoczekanie. To z jego kowbojskich botów pójdzie dym. Widziałaś mój niebieski szal?

– Nie – mruknęła Brenna z roztargnieniem. Nie mogła uwierzyć, że po dwudziestu latach wdowieństwa babcia znalazła sobie mężczyznę.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Aż się

uśmiechnęła. Jeżeli babcia zajmie się wreszcie swoim życiem, nie będzie miała czasu, by się koncentrować na życiu wnuczki.

Abigail, zupełnie jakby usłyszała tę myśl, uśmiechnęła się złośliwie.

– Może będzie tam też ten twój jurny chłopak.

– Babciu, daj spokój – jęknęła Brenna, ale poczuła lekki dreszczyk. – On mnie nie interesuje.

Dylan popijał piwo i słuchał melodii granych przez zespół. Od rozmowy z burmistrzem miał czas przemyśleć całą sprawę, a także z odpowiedniej perspektywy spojrzeć na pocałunek z Brenna. W końcu wytłumaczył sobie, że już od dość dawna nie miał okazji cieszyć się ciepłem kobiecego ciała, a w tych okolicznościach nawet święty by nie wytrzymał.

Ale w chwili, gdy zobaczył, jak Brenna wchodzi do baru, w ustach natychmiast zrobiło mu się sucho. Jej różowy sweterek i eleganckie dzinsy oblepiały ciało wprost stworzone do grzechu. A sposób, w jaki idąc kołysała biodrami, sprawił, że jego własne dzinsy stały się nagle o wiele za ciasne.

Kłopoty nigdy jeszcze nie wyglądały tak pociągająco. I na dodatek nie był jedynym mężczyzną, który to zauważył. Kowboje siedzący przy barze zaczęli się trącać łokciami, na ich twarzach pojawił się pełen aprobaty wyraz.

Gdy jeden z nich chwycił Brennę za ramię, Dylan poczuł niepohamowaną chęć, by walnąć w coś



pięścią. Ale na szczęście Abigail tylko spojrzała na faceta, rąbnęła go torebką po palcach, a potem poprowadziła Brennę prosto do stolika Dylana i Pete'a.

– No, no, spójrz tylko, kto tu przyszedł! – wykrzyknął Pete, a jego pomarszczona twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Brenna, tu są tylko dwa krzesła. Może ty i Dillard poszukalibyście sobie innego stolika? – zaproponowała Abigail. Jej oczy skrzyły się wesołością, gdy wskazała drugi koniec sali. – O, tam, w tym zacienionym kącie, możecie podjąć rozmowę w miejscu, w którym ją przerwaliście tamtego wieczoru.

Na twarz Brenny wystąpiły dwie ciemne plamy, gdy kilku klientów Luke'a, słysząc te szokujące słowa, zaczęło otwarcie gapić się na Abigail. A Dylan, ku własnemu zdziwieniu, nagle zapragnął osłonić Brennę przed ciekawskimi spojrzeniami.

– Bawcie się dobrze, dzieci – powiedział Pete, pomagając Abigail usiąść na krzesło, które jeszcze przed chwilą zajmował jego siostrzeniec.

Skoro została mu odebrana możliwość decyzji, Dylan dotknął łokcia Brenny.

– I tak tu jest za duży hałas, by móc rozmawiać.

Chodźmy poszukać stolika dalej od parkietu.

Poprowadził ją przez sobotni tłum do wolnego stolika w kącie. Podając jej krzesło, był świadomy, że

wszyscy bez żenady się w niego wpatrują.

– Dylan, jeszcze jedno piwo? – spytała młoda kelnerka, podchodząc do stolika.

Dylan uśmiechnął się do dziewczyny swojego podwładnego, Jasona.

– Nie, dziękuję, Susie. Na razie wystarczy. A ty chcesz coś zamówić? – spytał Brennę, która była wyjątkowo milcząca.

– Dietetyczną colę.

– Zaraz przyniosę – obiecała Susie.

Dylan poczekał, aż Brenna dostanie colę, i dopiero wtedy skomentował jej ponury nastrój.

– Przestań się przejmować. Twoja babcia na pewno się już nie zmieni.

– Pewnie masz rację – westchnęła Brenna.

– Mam ten sam kłopot z Pete'em. – Dylan wzruszył ramionami. – Kiedy chce coś powiedzieć, nie krępuje się i mało go obchodzi, co o tym myślą inni.

– Babcia twierdzi, że to przywilej podeszłego wieku – przyznała Brenna. – Ale chciałabym, żeby go tak nie nadużywała.

– Nie liczyłbym na to – roześmiał się Dylan.

Po wymianie tych zdań zapadło między nimi niezręczne milczenie. Wreszcie zespół zaczął grać powolny kawałek. Dylan wstał.

– Zatańczymy? – zapytał.

Niezbyt dobrze radził sobie z szybkimi tańcami,

ale potrafił się kołysać przy wolniejszych. Zresztą wszystko było lepsze niż tak po prostu siedzieć przez resztę wieczoru i nawzajem się w siebie wpatrywać.

Na parkiecie było tak tłoczno, że ktoś pchnął Brennę prosto w jego ramiona. Obejmując ją, by nie upadła, Dylan z trudem przełknął ślinę. Mimo że była sporo niższa, pasowała do niego idealnie, a jego ciało już reagowało.

Próbował nie zwracać uwagi na to, że jej miękkie piersi są tak ściśle przyciśnięte do jego klatki piersiowej, ani na to, że jej uda ocierają się o jego uda. Jednak w tej pozycji nie mógł ukryć swojego podniecenia.

Brenna też nie pozostała obojętna. Oddychała coraz szybciej, w dolnej części brzucha czuła dziko narastające łaskotanie. Jego szeroka pierś przesłaniała jej wszystko wokół i mimo otaczającego ich tłumy miała wrażenie, jakby znajdowali się o całe kilometry od najbliższej żywej istoty.

Automatycznie zarzuciła Dylanowi ręce na szyję i wsunęła palce w jego gęste, czarne włosy. Zamknęła oczy, a gdy miękki materiał koszuli Dylana musnął jej policzek, westchnęła. On, czując jej ciepły oddech, zadrżał, i wtedy kolana się pod nią ugięły.

Powinna natychmiast się od niego odsunąć i poszukać automatu z czekoladą. Apetyt na czekoladę jest znacznie mniej szkodliwy niż apetyt na tego szeryfa.

Zaczął ją głaskać po karku.  
Naprawdę powinna odejść.  
Jego usta musnęły jej skroń.  
Jeszcze chwila, a ona też...

Nagle muzyka umilkła i w zapadłej ciszy głos Pete'a zabrzmiał jak grom:

– Ira, do diabła! Mówiłem, żebyś zostawił moją kobietę w spokoju!

Mięśnie Dylana napięły się. Natychmiast puścił Brennę i łokciami utorował sobie drogę przez tłum.

– Co się stało? – spytał, docierając do wujka.

– Ten szakał czepia się Abigail – warknął Pete, wymierzając pięścią w nos przeciwnika.

– Babciu, co tu się dzieje? – spytała Brenna zza pleców Dylana.

Oczy Abigail skrzyły się z podniecenia.

– Prawda, że ostro reaguje? – zachwyciła się.

– Chciałem tylko z nią zatańczyć – wyjaśnił ponuro Ira, ale też wystawił pięści.

– Więc dlaczego nazwałeś ją starym ptaszyskiem?  
– pienił się Pete.

– Lepiej obaj się uspokójcie – poradził Dylan, widząc, że wszyscy się na nich gapią. Skinął głową w stronę drzwi.

– Wyjdźmy pogadać na dwór. Moje panie, idziecie?

Gdy już stanęli pod neonowym szyldem reklamującym bar Luke'a, zwrócił się do Abigail:

– Więc co się stało, pani Montgomery?

Abigail wskazała Irę.

– On mnie poprosił do tańca, a ja uprzejmie odmówiłam. A gdy nie przyjął mojej odmowy do wiadomości, powiedziałam mu, że wolę bardziej dziarskich mężczyzn i żeby spływał. I wtedy nazwał mnie starym ptaszyskiem.

Dylan pomyślał, że w głosie Abigail wyczuwa się prawdziwą przyjemność. A przecież została obrażona. Popatrzył na Irę Jenningsa, potem na swojego wujka. Obaj byli po siedemdziesiątce, o wiele za starzy na bójkę na pięści. Mimo to byli gotowi się bić o tę starą kobietę. A ona wprost się tym rozkoszowała.

Zacisnął usta, starając się pohamować śmiech.

– Powinienem przymknąć całą waszą trójkę za zakłócanie porządku.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie:

– Eee, Dylan, ja tylko chciałem zatańczyć...

– Hej, chłopie! Ja i Abby...

– To nie Pete i ja zaczęliśmy...

Dylan włożył dwa palce do ust i przeraźliwie zagwizdał. Gdy umilkli, zapytał:

– Sądzicie, że jeżeli dam wam jedynie ostrzeżenie, potraficie wrócić na salę i zachowywać się porządnie przez resztę wieczoru?

Ira Jennings skinął głową i uciekł z powrotem do baru tak szybko, jak tylko pozwolił mu na to

artretyzm. Dylan oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

– A co z wami?

Abigail wzięła Pete'a za rękę i pociągnęła go na parking.

– I tak mieliśmy już wychodzić.

– Gdzie się wybieracie? – spytała Brenna.

– Do domu. – Abigail niewzruszenie ciągnęła Pete'a do samochodu Brenny. Odwróciła się jeszcze i puściła do nich oczko. – Zamierzamy wypróbować kanapę.

– Naprawdę? – ucieszył się Pete, przyspieszając. Nie czekał na odpowiedź, tylko otworzył drzwi samochodu i wskoczył do niego tak zgrabnie, jakby miał dwadzieścia lat.

Abigail uśmiechnęła się do Brenny.

– Jeżeli po powrocie zobaczysz, że na klamce jest zawiązana chustka, objeżdż kilka razy dom naokoło.

– Babciu! – Brenna zaczerwieniła się po same włosy.

Gdy Pete ruszył takim zrywem, że aż spod opon prysnął żwir, Dylan zauważył:

– Nie przejmuj się. W ich wieku przynajmniej nie będą musieli brać przyspieszonego ślubu. A teraz wracajmy do środka.

Dziesięć minut później podeszła do nich Susie.

– Dylan, telefon do ciebie.

Tylko westchnął i podszedł do baru. Po chwili z

ciężkim przekleństwem rzucił słuchawkę.

– Cci się stało? – spytała Brenna, gdy wrócił do stolika.

– Musimy iść. – Wziął ją pod łokieć i poprowadził do wyjścia.

– Ale co się stało? – powtórzyła.

– Zobaczysz, gdy dojedziemy.

Brenna zachłysnęła się oddechem.

– Coś z babcią? Albo z Pete'em?

– Tak.

– Z którym z nich?

– Z obojgiem. Mieli wypadek.

– Boże!

– Pete mówił, że nic im się nie stało.

Dylan prowadził tak, jakby goniły ich potwory z piekła rodem. Gdy wreszcie zajechali przed dom, Brenna aż krzyknęła. Jedna strona ganku wisiała w chwiejnej równowadze na wgniecionym bagażniku jej toyoty.

– Gdzie oni są? – spytała, wyskakując z pikapa.

Ale w tej chwili winowajcy wyszli na próg.

– Nic wam nie jest? – Przesuwała spojrzenie od babci do Pete'a. – Czy któreś z was potrzebuje lekarza?

– Wszystko w porządku. – Abigail uściskała Brennę.

– Tylko samochód jest trochę uszkodzony, a na ganek chyba trzeba będzie dać nowy filarek, ale to

wszystko łatwo naprawić.

– Jak do tego doszło? – spytał Dylan ostro.

Pete zaczął nerwowo szurać nogą.

– No więc... ja... to znaczy...

Abigail puściła do niego oko.

– Położyłam mu rękę na udzie, a on zamiast nacisnąć hamulec przycisnął gaz do dechy. Ale wyszliśmy z tego cało, więc się nie przejmuj. – Czule objęła Pete'a. – Zrobię kawę, a wy, dzieci, zastanówcie się, jak zdjąć ganek z samochodu.

– Naprawę mi przykro – powiedział Pete.

Gdy staruszkowie weszli do domu, Brenna westchnęła.

– I co ja mam z nią zrobić? Zupełnie jakbym miała w domu nastolatkę.

– Gorzej – mruknął Dylan, patrząc na ruinę ganku i samochodu.

– Chyba masz rację. Nawet nie można na nich nakrzyczeć.

– Rzeczywiście, bo to i tak nic nie da – roześmiał się Dylan i objął Brennę za ramiona. – Chodź, zobaczymy, co ta dwójka przestępców zdołała zmalować i jak to naprawić.



## Rozdział 4

Brenna kończyła się ubierać na lekcję historii, którą miała prowadzić w szkole. Właśnie wkładała czarną perukę gejszy, gdy Abigail zapukała do drzwi.

– Przyszedł Dylan.

– Nie wiesz po co?

Abigail weszła do pokoju i usiadła na łóżku.

– Myślę, że czuje do ciebie miętę.

– Chyba go nie prosiłaś, żeby mnie podwiózł do szkoły!

– Nie. – Babcia uśmiechnęła się radośnie. – Ten Dylan Chandler to mądry chłopiec. Sam o tym pomyślał. Powiedział, że skoro Pete rozbił twój samochód, będzie cię woził do pracy, póki go nie naprawią.

Na myśl o tym, że zobaczy Dylana, Brennie przyspieszył puls. A to wcale nie było dobre. Absolutnie nie.

Odkąd rok temu skończył się jej nieudany związek z Tomem, bardzo uważała, by nie związać się z innym mężczyzną. A już zwłaszcza z takim jak Dylan.

Jego zaborczy charakter wprawiał ją w nerwowość i przypominał, dlaczego przeniosła się do Teksasu. Zamierzała zacząć wszystko od początku, stać się nową, pewną siebie kobietą, panującą nad swoim

życiem i podejmującą własne decyzje. Nigdy więcej nie pozwoli, by mężczyzna nią manipulował i zmuszał do postępowania zgodnie z jego wolą lub z tym, co on uważałby dla niej za najlepsze.

To, że Dylan postanowił wozić ją swoim samochodem, chociaż samo w sobie raczej niewinne, było jednak bardzo znamienne. Bo nawet jej nie spytał, czy sobie tego życzy. Po prostu uznał, że ona bez słowa się podporządkuje.

– Podziękuj mu, ale wolę iść pieszo. Potrzebuję trochę ruchu.

– Och, do diabła z cellulitem! – Abigail machnęła ręką w stronę okna. – Tam czeka przystojny chłopak, który całym swoim zachowaniem daje do zrozumienia, że mu się podobasz. Poza tym jeżeli zaraz nie wyjdiesz, to się spóźnisz.

Brenna spojrzała na zegarek i zaklęła, bo znów wieczorem zapomniała nastawić budzik.

– Powiedz Dylanowi, że już idę – poprosiła.

– Mądra decyzja. – Abigail uśmiechnęła się triumfująco. – Z prawdziwą ulgą stwierdzam, że nie wychowałam cię na głupią dziewczynę.

Brenna szybko sprawdziła, czy ma w torbie przyrządy do malowania i książkę, którą zamierzała przeczytać dzieciom. Przejrzała się jeszcze w lustrze, by się upewnić, że kimono się nie marszczy i dobrze leży. Idąc do drzwi, pokręciła głową.

– Nie masz się z czego tak cieszyć – parsknęła. –

On mnie nie interesuje. Po prostu podwozi mnie do pracy.

Ale gdy wyszła na ganek i zobaczyła Dylana, który stał oparty o błotnik biało-czarnego explorera z wymalowanymi po bokach oznakami biura szeryfa, jej puls przyspieszył. Dylan miał na sobie czarną strażacką bluzę, obcisłe džinsy i czarny kapelusz. Na nosie lotnicze przeciwsłoneczne okulary. Rozzłościła się. Żaden mężczyzną nie ma prawa wyglądać tak zabójczo. A już zwłaszcza o ósmej rano. Ledwo się opanowała, by nie sięgnąć do torby po czekoladowy batonik.

– Czemu tak się ubrałaś? – spytał, widząc jej strój.

– Dzieci uwielbiają, gdy osoba, która czyta im opowiadania, jest ubrana stosownie do ich treści i do prac ręcznych, które potem wykonujemy. Czy to ci przeszkadza, szeryfie?

– Nie, wcale nie – skłamał Dylan. – O której zamykasz dziś sklep?

– O piątej. – Podkasała kimono do kolan i wdrapała się do explorera. – Dlaczego pytasz?

Na widok jej zgrabnych nóg musiał kilka razy przełknąć ślinę, zanim udało mu się wydobyć z siebie głos.

– Przyjadę po ciebie i odwiozę cię do domu.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za troskę, ale wolę iść pieszo – powiedziała stanowczo. – Obrastam tłuszczem, więc muszę zażywać choć trochę ruchu.

– Nie jesteś stara – zaproponował. – A trochę tłuszczu to całkiem dobra rzecz.

Zaczerwieniła się jak piwonia.

– Dylan...

Nagle w samochodzie zatrzeszczało policyjne radio i rozległ się podniecony głos zastępcy.

– Przyszedł burmistrz Worthington. Jest wściekły i chce cię natychmiast widzieć.

Dylan zaklął, sięgając po mikrofon.

– Jason, uspokój się. Poczęstuj burmistrza kawą i powiedz, że będę za pięć minut.

Odłożył na miejsce mikrofon i w milczeniu skierował się do szkoły. Co za diabeł go podkusił, by jej mówić, że podoba mu się jej tłuszcz? Ciekawe, co by jeszcze powiedział lub zrobił, gdyby Jason mu nie przeszkodził.

I dlaczego właściwie tak się upiera przy odwiezieniu jej po południu do domu? Co go to obchodzi, że ona woli raczej iść na piechotę niż przyjąć jego propozycję?

Powinien teraz na klęczkach dziękować Bogu, że Brenna miała dość rozsądku, by mu odmówić. Tyle że ciągle nawiedzało go wspomnienie chwil, gdy trzymał ją w tańcu w ramionach, nadal czuł smak jej słodkich ust, gdy ją całował po lekcji malowania. I czy to mądre, czy nie, zapragnął jeszcze raz poczuć przy sobie jej pięknie zaokrąglone ciało i całować ją aż do całkowitej utraty tchu.

– Przyjadę po ciebie o piątej – zapowiedział, zatrzymując się przed szkołą.

– Wolałabym raczej...

– To w ogóle nie podlega dyskusji. Odwiozę cię do domu – oświadczył. I, nie mogąc się powstrzymać, przejechał palcami po jej miękkim policzku. – Czy chcesz, żeby po lekcji zawieźć cię ze szkoły do sklepu?

– Nie, to tylko mały kawałek.

Zadowolony, że Brenna już nie protestuje, uśmiechnął się. '

– Do zobaczenia po południu.

Myron aż kipiał ze złości, opowiadając o najnowszym planie, jaki Towarzystwo Upiększania Miasta wymyśliło w związku z jasełkami.

– Chyba nie jest aż tak źle – przerwał mu wreszcie Dylan.

Myron zatrzymał się w swojej wędrówce po pokoju i spojrzał na Dylana tak, jakby mu wyrosła druga głowa.

– Chłopcze, czy ty nie słyszysz, co mówię? Cornelia i jej kwoki zamierzają wystawić miasto na pośmiewisko.

Do diabła! Cały Teksas będzie nas wykpi wał!

Dylan wstał i nalał Myronowi jeszcze jeden kubek kawy.

– Uspokój się. Właściciele sklepów na pewno nie

zgodzą się na zastąpienie neonowych szyldów szyldami malowanymi na drewnie.

Okraglutki burmistrz ciężko opadł na krzesło przed biurkiem Dylana.

– Może i masz rację. Tyle że ja znam Cornelie. Gdy już raz coś umyśli, nic nie zdoła jej od tego odwieść.

– W tym wypadku będzie musiała ustąpić. – Dylan wrócił za biurko. – Wbrew woli właścicieli sklepów nic nie działo.

– Mam nadzieję. – Myron w zamyśleniu sączył kawę.

– Zauważyłem, że ty i ta mała Montgomery byliście u Luke'a w sobotę wieczorem. Dowiedziałeś się czegoś od niej?

Dylan pokręcił głową.

– Na mój gust jesteście bardzo zaprzyjaźnieni – kontynuował Myron z takim uśmiechem, że Dylan aż zazgrzytał zębami. – To może być dobry sposób, by odkryć, co knują nasze kobiety.

– Myron, nawet o tym nie myśl. Brenna nie ma nic wspólnego z Towarzystwem Upiększania czy z ich szalonymi pomysłami. A jeśli chodzi o tamten wieczór, po prostu tak się złożyło, że oboje byliśmy u Luke'a i tańczyliśmy.

Długo po tym, jak burmistrz już wyszedł, Dylan zastanawiał się nad jego słowami. Nie pozwolił Myronowi, ani zresztą nikomu innemu, sugerować,

że widuje się z Brenna jedynie po to, by wyciągnąć z niej informacje na temat T. U. M. Kilka lat temu już przeżył coś podobnego i dokładnie wiedział, jak człowiek się czuje, gdy nim manipulują.

Ciągle jeszcze się sobie dziwił, że wtedy okazał się takim głupcem. Złapała go na haczyk piękna kobieta, która przyjechała do Tranquillity pod pretekstem, że chce kupić posiadłość, w której otworzy pensjonat. Ale niedługo potem w bardzo przykry dla siebie sposób zorientował się, że ona wykorzystuje jego zadurzenie do zdobycia informacji, których potrzebowała, by utworzyć w mieście o wiele większą firmę.

A o tym, jak mało dla niej znaczy, dowiedział się, gdy na zebraniu miejskiej rady oświadczyła, że zamierza otworzyć tu biuro deweloperskie, które zmieniłoby Tranquillity w kurort dla bogaczy marzących o „powrocie do natury”. Pokazała statystyki, które sporządziła na podstawie informacji zebranych przy pomocy Dylana. Tłumaczyła, jak miasto powinno wykorzystać swoje położenie u podnóża gór Davis. Naciskała na rajców, by wydali uchwałę, która zmusiłaby właścicieli sklepów przy Main Street do unowocześnienia swoich lokali albo, gdyby się na to nie zgodzili, do ich zamknięcia. I gdyby osiągnęła cel, koszt życia w Tranquillity skoczyłby pod niebo. Stali mieszkańcy miasta nie podołaliby temu i po prostu musieliby się wynieść.

Ale najgorzej było, gdy wskazała Dylana, mówiąc, że on popiera te plany. Posunęła się nawet do wypisania hojnego czeku jako opłaty za jego udział w zbieraniu informacji, i próbowała mu go wręczyć na oczach Myrona i reszty rajców.

Jednak rada bez wahania odrzuciła jej propozycję, a ona wyjechała z miasta, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Ale szkoda już się stała. Reputacja Dylana, już nie wspominając o jego ego, ucierpiały straszliwie. Po raz pierwszy w życiu kwestionowano jego uczciwość.

Potrzebował wielu miesięcy, by zacząć odzyskiwać zaufanie i szacunek mieszkańców miasta. Tak więc na pewno już nigdy nie pozwoli się wciągnąć w taką intrygę. I po nauczce, którą dostał, nie zamierza także zawodzić niczyjego zaufania w tak podły sposób. A już na pewno nie zaufania Brenny.

Ale, z drugiej strony, właściwie nic sienie stało. Brenna nie należy do T. U. M. , więc siłą rzeczy nie może nic wiedzieć o jego planach.

Wypełni rozkaz burmistrza i będzie chodził na lekcje. Jeżeli usłyszy, co te kobiety planują, przekaże to Myronowi. A jeżeli nie, niech burmistrz szuka sobie informacji gdzie indziej. Zresztą, tak czy owak, postara się jak najszybciej wypłatać z tego parszywego położenia.



Dylan wszedł do sklepu Brenny na kwadrans przed zamknięciem i od razu stanął olśniony. Przebrała się z orientalnego kostiumu w dżinsy i koszulkę w kolorze leśnej zieleni. Zdjęła perukę gejszy, a długie miedziane włosy splotła w pojedynczy warkocz. Ale przede wszystkim zachwyił go jej tyłeczek, który wyeksponowała, pochylając się, by pomóc starej pani Pennington zdjąć coś z dolnej półki.

Słyszając dzwonek u drzwi, Brenna uniosła głowę. Na widok Dylana uśmiechnęła się.

– Już piąta?

Wzruszył ramionami, usiłując zmusić struny głosowe do posłuszeństwa.

– Prawie – wydusił w końcu. – Gdzie leżą rzeczy potrzebne na lekcje?

Brenna wskazała mu odpowiedni regał. Wziął koszyk i robiąc nadludzki wysiłek, by się opanować, zaczął wybierać pędzle i farby.

– Masz wszystko, czego ci potrzeba? – spytała, stając za nim.

– Chyba tak.

Zajrzała do koszyka.

– Rzeczywiście. To wystarczy.

Gdy sięgnęła po koszyk, musnęła ręką jego dłoń. Dylan miał wrażenie, że przebiegł go prąd elektryczny. Ledwo się opanował, by nie wziąć jej w ramiona i całować do utraty tchu.

Patrzyli na siebie przez kilka długich sekund, aż

wreszcie zabrała koszyk.

– Podliczę należność i możemy iść. – Podeszła do kasy. – Jak ci minął dzień?

– Tak sobie – odparł Dylan, wspominając wizytę burmistrza.

– Nie martw się. Jutro będzie lepiej – zapewniła go z uśmiechem.

– Może i tak – mruknął, próbując nie myśleć, jaka ona jest ładna i jaki ma słodki głos. Podał jej pieniądze i powiedział. – A tobie jak minął dzień?

– Fantastycznie. Pani Worthington przyszła po południu podzielić się ze mną wspaniałym pomysłem. Ona i panie z Towarzystwa Upiększania poprosiły, żebym wstąpiła do klubu i pokierowała udekorowaniem Main Street na święta. Czy to nie wspaniale? Dylan poczuł ciężar na sercu.

– O, tak! Rzeczywiście, wspaniale! – parsknął.

– Jesteś taki ponury. Czy coś się stało?

– Nie. – Wcale nie zamierzał tak warknąć. Ale dlaczego Brenna musi dołączać do Corny i jej kwok, a przez to tak bardzo komplikować mu życie?

– Jestem dobrą słuchaczką. Może chciałbyś mi opowiedzieć, co cię tak martwi? – zaproponowała, wkładając jego zakupy do torby. – Czasami człowiekowi ulży, gdy się wygada.

– Nie sędzę.

Gdyby jej powiedział, że burmistrz rozkazał mu chodzić na lekcje i wykryć, co też T. U. M. ma w

zanadrzu, najpewniej pokazałaby mu drzwi.

– Jeśli zmienisz zdanie, propozycja jest aktualna.

– Obeszła sklep, pogasiła światła. – Och, zapomniałam. Babcia dzwoniła. Mam ci powiedzieć, że ona i Pete wzięli twój pikap i pojechali do Alpine, do kina i na kolację.

– Dobrze się bawią, co? – mruknął sarkastycznie Dylan. – Dziś była kolej Pete'a na gotowanie.

– Chyba mogłabym coś dla nas przygotować – zaproponowała Brenna niepewnie.

Dylanowi natychmiast poprawił się humor. Uśmiechnął się po raz pierwszy od wejścia do sklepu.

– To miło z twojej strony.

Oczywiście nie miał zamiaru jej wypytywać. Ale jeżeli z własnej woli Brenna poda mu jakąś informację o planach T. U. M. , a on będzie mógł ją przekazać Myronowi, rzuci lekcje malowania z czystym sumieniem.

Jednak natychmiast ogarnęło go jakieś niezrozumiałe poczucie żalu. Dlaczego myśl, że nie będzie jej widywał w każdy wtorek, tak go zasmuciła?

– Pomóc ci? – spytał Dylan.

Pokręciła głową i włączyła telewizor.

– Odpocznij sobie i obejrzyj wiadomości, a ja w tym czasie coś ugotuję.

Gdy poszła do kuchni, Dylan zdjął kapelusz i

rozejrzał się po małym, wygodnie umeblowanym pokoju. Począwszy od marszczonych firanek na oknach, a skończywszy na koronkowych serwetkach przykrywających filigranowe stoliki, wszystko było takie kobiece! Poczłł się jak słoń w składzie porcelany.

Rozbawiony pokręcił głową. Co za kontrast z domem, który dzielił z Pete'em! Tam przynajmniej mężczyzna nie bał się usiąść.

Na serwantce zobaczył zdjęcie w mosiężnej ramce. Podeszedł bliżej. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę i kobietę w czułym objęciu.

– To moi rodzice – powiedziała spokojnie Brenna, podchodząc do Dylana. – Zrobiono tę fotografię na krótko przed ich śmiercią.

– Co się stało?

– Zginęli w wypadku samochodowym prawie dziesięć lat temu. Ja miałam wtedy piętnaście lat – odparła cicho.

Widząc smutek w jej oczach, bez chwili namysłu wziął ją w ramiona. Mówił sobie, że chce tylko ją pocieszyć. Ale gdy zarzuciła mu ręce na szyję, przytulił policzek do czubka jej głowy i tak stali przez długą chwilę.

– Dylan, a co z twoimi rodzicami? – spytała po jakimś czasie.

Gdy usłyszał swoje imię wypowiedziane tym aksamitnym głosem, poczuł w sercu jakieś dziwne

poruszenie.

– Mama umarła, gdy byłem w college'u, a tato pięć lat temu.

– Jesteś jedynakiem?

Skinał głową. – Mama miała czterdzieści lat, gdy się urodziłem. Zdążyli już stracić wszelką nadzieję na dziecko.

Brenna odsunęła się.

– No i proszę, co zmajstrowali! – zawołała.

Dylan zrozumiał, że chce wprowadzić lżejszy nastrój.

– A teraz to, co zmajstrowali, jest okropnie głodne – poskarżył się. – Kiedy siądziemy do stołu?

Brenna wzięła głęboki oddech. Nadeszła chwila prawdy. Musi iść do kuchni i jakoś sobie poradzić. Albo powiedzieć Dylanowi, że nie umie gotować, i zadzwonić po pizzę.

– No, to pójdę zobaczyć, co mamy, bo jeszcze mi tu padniesz z głodu.

– Pomogę ci – zaproponował, idąc za nią do kuchni.

Brenna otworzyła lodówkę i zajrzała do niej tak, jakby samo patrzenie w jakiś cudowny sposób mogło zdjąć jej kłopot z głowy. Ale jakoś żadna gotowa potrawa się nie zmaterializowała. Wyjęła więc karton jajek. Babcia zawsze mówiła, że każdy potrafi usmażyć omlet.

– Chcesz omlet? – spytała z nadzieją.

– Jasne. – Zatarł ręce. – Daj mi nóż, to pokroję nadzienie.

– Nadzienie?

– Tak. To, co wkłada się do środka. Szynkę, ser, paprykę... – Zmarszczył czoło. – Chyba już robiłaś omlety?

– Eee... jasne. Usiądź sobie w bawialni i obejrzyj telewizję albo poczytaj gazetę, a ja się zajmę kolacją.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. – Musiała wyprosić go z kuchni, żeby móc zajrzeć do książki kucharskiej babci. – Miałaś ciężki dzień, a upieczenie omletu nie zajmie mi dużo czasu.

– Chcesz go piec? – zdumiał się.

– Smażyć – poprawiła się szybko. – Chciałam powiedzieć: smażyć.

Patrząc, jak Dylan wychodzi z kuchni, poczuła panikę. Jej umiejętności kulinarne obejmowały jedynie zagotowanie wody na herbatę. Gdzie ona miała głowę, zapraszając Dylana na kolację?

Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w szafki. Potem ruszyła do akcji. Przeszukała pierwszą szafkę, potem drugą. Gdzie babcia mogła wsadzić tę cholerną książkę kucharską?

Gdy ją w końcu znalazła, westchnęła z ulgą.

– Omlety – wymruczała, przesuwając palcem po spisie treści. – Gdzie jest przepis na omlety?

Dylan nasłuchiwał odgłosów dochodzących z kuchni. Miał wrażenie, że wybuchła tam mała wojenka. Patelnie stukwały, drzwiczki szafek zatrząskiwwały się z hukiem. W pewnej chwili rozległ się okropny łoskot, a po nim wypowiedziane z serca: „cholera!”. Zerwał się z krzesła.

– Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

– Na pewno!

Lekko zaniepokojony usiadł z powrotem. Jeżeli wszystko jest w porządku, dlaczego w jej głosie wyczuł takie zdenerwowanie?

Siedział jak na szpilkach, nie wiedząc, co robić, gdy nagle zaskrzeczał wykrywacz dymu. Dylanowi włosy stanęły dęba. Zerwał się z krzesła i mało nie przewrócił Brenny, która pędem wybiegała przez drzwi.

– Co się tam stało?

– Kuchenka się zapaliła!

Dylan wpadł do kuchni. Tłuszcz na małej patelence stojącej na wielkim płomieniu palił się żywym ogniem, z elektrycznej kuchenki wzbijały się w górę czarne kłęby dymu.

– Masz gaśnicę?

Brenna zakaszłała i pokazała palcem szafkę pod zlewem.

Dylan wyszarpnął gaśnicę z szarki, wycelował i nacisnął ręczkę. Chmura piany natychmiast ugasiła pożar.

– Nic ci się nie stało? – spytał. Jego głos brzmiał bardziej nerwowo, niżby chciał, ale ta kobieta wystraszyła go na śmierć.

Na widok Brenny stojącej w milczeniu, ze łzami spływającymi po policzkach, jego niepokój się wzmógł. Może się poparzyła?

Podszedł do niej i uważnie jej się przyjrzał. Gdy nie znalazł żadnych obrażeń, wziął ją w ramiona.

– Jak, do diabła, udało ci się podpalić elektryczną kuchenkę?

– Nie wiem. – Najwyraźniej zażenowana do łez, ukryła twarz na jego piersi. – Nie mam najmniejszego pojęcia o gotowaniu.

Dylan i Brenna siedzieli po turecku na dywanie. Między nimi leżało puste pudełko po pizzy. Wyczyścili kuchenkę, umyli patelnię, ale w całym domu unosił się zapach spalenizny.

– Och, kiedy ten smród się ulotni? – jęknęła Brenna, marszcząc nos.

– To trochę potrwa. Miałaś tu pełno dymu, skarbie. Westchnęła, widząc jego pytające spojrzenie.

– Pewnie chcesz wiedzieć, czemu ci nie powiedziałam, że nie umiem gotować.

Skinał głową, próbując bezskutecznie powściągnąć uśmiech.

– Nie sądziłam, że tak trudno jest usmażyć omlet – wyjaśniła obronnym tonem.



– Bo nie jest.

– I, jak przypuszczam, ty umiesz gotować?

– Pewnie, że tak.

– Powinnam była wiedzieć. – Zmarszczyła brwi. – I najpewniej jesteś w tym dobry?

– Rzeczywiście – przyznał ze śmiechem. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Ale w innych rzeczach jestem jeszcze lepszy. – Przeciągnął słowa tak seksownie, że po plecach przebiegł jej rozkoszny dreszcz.

Gdy spojrzał na nią płonąącym od pożądania wzrokiem, zabrakło jej tchu. Zaraz znów ją pocałuje. Na tę myśl jednocześnie zadrżała ze szczęścia i poczuła przejmujący lęk.

– Dylan, nie wydaje mi się...

Próbowała sobie przypomnieć, że on nie jest dla niej odpowiedni, że jest za bardzo macho, za bardzo lubi wszystko kontrolować. Ale w chwili, gdy jego usta dotknęły jej ust, żadna z tych rzeczy nie miała już najmniejszego znaczenia.

– No tak. Teraz rozumiem, czemu w całym domu czuć dym! – wykrzyknął Pete. – Popatrz tylko, jak te dzieci igrają z ogniem.

– Albo Brenna znów próbowała coś ugotować – roześmiała się Abigail.

Zmysłowa mgiełka otaczająca Brennę rozwiała się w jednej chwili.

– Mówiąc prawdę, i to, i to – odparł Dylan.

Brenna gwałtownym ruchem wyrwała się z objęć Dylana. Na szczęście babcia i Pete wrócili, zanim zdążyła zrobić coś głupiego.

Ale na widok ich uśmiechów, mówiących: „doskonale wiemy, co tu się działo”, najchętniej ukryłaby twarz na szerokiej piersi Dylana, wbijając jednocześnie zęby w baton Hersheya.

## Rozdział 5

Brenna chodziła od stolika do stolika i sprawdzała, jak paniom idzie malowanie. Dylan, zapatrzony w łagodne kołysanie jej bioder, dopiero po chwili uświadomił sobie, że siedząca obok kobieta odezwała się do niego.

– Mildred, mówiłaś coś?

– Mówiłam, że doskonale posługujesz się pędzlem – powtórzyła, wskazując jego dzieło. Trochę się zdziwił, bo plamy farby na jego kartonie najbardziej przypominały wielkie tłuste robaki. – Nie chciałbyś pomóc naszemu Towarzystwu Upiększania przy ozdabianiu Main Street na święta?

No, teraz dowie się czegoś o ich planie, ucieszył się.

– Nie wydaje mi się, by to był dobry pomysł – odpowiedział, uważając, by nikt go nie usłyszał. – Chłopaki u Luke'a...

– Och, jaka ze mnie idiotka – przerwała mu Mildred ze śmiechem. Położyła pomarszczoną rękę na jego ramieniu i uśmiechnęła się serdecznie. – Oczywiście, że nie możesz nam pomóc. Towarzystwo Upiększania to kobieca organizacja. Zapomniałam, że jesteś mężczyzną.

Dylanowi udało się uśmiechnąć, ale ten uśmiech wyglądał chyba raczej jak grymas. Ile jeszcze może

znieść dla dobra swojego miasta? Nie dość, że kumple wyśmiewają się z niego, odkąd zaczął uczęszczać na kurs malowania ze starą Corny i jej kwokami, to jeszcze teraz ta przemiła staruszka, którą znał przez całe swoje życie, kilkoma słowami niemal go wykastrowała.

– Doskonała robota, Dylan. Jestem z ciebie dumna.

Słyszając głos Brenny, uniósł głowę. Zachęcający uśmiech, jakim go obdarzyła, sprawił, że zapomniał o wszystkich zmartwieniach: o kpinach koleżków, a nawet o tym, że Mildred beztrąsko pozbawiła go płci. Usta Brenny wyglądały tak słodko. Wiele by dał, by mocją teraz pocałować.

– Pójdiesz ze mną po lekcji na kawę do Luke'a? – spytał impulsywnie, nie zastanawiając się nad tym, gdzie jest ani kto może go usłyszeć.

Szmer głosów w sali ucichł. Dylan rozejrzał się i z trudem się pohamował, by nie zakląć. Kobiety z rozczulonymi uśmiechami i zapartym tchem czekały na odpowiedź. Zaczzerwienił się. Co on najlepszego narobił! Oto właśnie sam, osobiście, poinformował te plotkary o swoim zainteresowaniu Brenna.

Ale gdy kobiety nadal z serdecznym uśmiechem na niego patrzyły, uznał, że nie ma co się wypierać swoich uczuć, a przynajmniej nie przed samym sobą. Był nią zainteresowany, i to nie dlatego, że rozkazano mu uczęszczać na lekcje malowania i wyśledzić, co knuje T. U. M. Czy mu się to podobało, czy nie, im

więcej przebywał z Brenna, tym silniej czuł wzajemne magnetyczne przyciąganie.

Uświadomiwszy sobie prawdę, uśmiechnął się do kobiet. Już się nie przejmował tym, co sobie pomyśla.

– No więc? Pójdziemy po lekcji na kawę?

Ślicznie się zaczerwieniła, ale jednocześnie spiorunowała go wzrokiem.

– Nie wydaje mi się...

Zanim zdążyła odmówić, stara Corny przyszła mu na ratunek. Zerwała się na równe nogi, wołając:

– Dziewczęta, chyba to będzie koniec na dziś.

Patrzył, jak Brenna bezsilnie rozgląda się po salce. Kobiety już zbierały przybory do malowania.

– Ależ, proszę pań! Mamy jeszcze kwadrans do końca lekcji...

– Brenno, moja droga – Cornelia nie dała jej skończyć – mogłabyś przyjść jutro wieczorem na spotkanie komitetu planowania naszego Towarzystwa?

Na widok zadowolenia w oczach Brenny Dylan poczuł, jak zaciska mu się żołądek. A więc tak bardzo pragnęła wstąpić do tego babskiego klubu i uczestniczyć w ich pracach!

– O której, pani Worthignton?

– O siódmej. – Cornelia zatrzymała się jeszcze w drodze do drzwi i mrugnęła do Dylana. – Spotkanie potrwa jakieś pół godziny. Mówię to na wypadek,

gdyby ktoś chciał potem odwiedzić Brennę do domu.

– Zapamiętam to – obiecał, uśmiechając się do niej.

Kobiety w rekordowym czasie opuściły salę, a gdy ostatnia zamknęła za sobą drzwi, Brenna spojrzała z wściekłością na Dylana, – No, szeryfie, ładnie się postarałeś, by zepsuć mi pierwszą lekcję. Pewnie jesteś bardzo z siebie zadowolony, co?

Wcale nie wyglądał na skruszonego.

– Moim zdaniem, to był całkowity sukces.

– Jak możesz tak mówić? Wszyscy wyszli, zanim lekcja dobiegła końca.

Podszedł do niej.

– Mimo to zapewniam cię, że odniosłaś wielki sukces.

Udało ci się sprawić, by Cornelia Worthington przez dłuższą chwilę siedziała spokojnie, zajęta malowaniem. To prawdziwy cud.

Jego seksowny uśmiech i głęboki głos wprawiły serce Brenny w drżenie. Ale gdy wyciągnął ręce, by wziąć ją w ramiona, pokręciła głową.

– Dylan, to nie jest dobry pomysł.

– To znaczy, co? – spytał, przyciągając ją bliżej.

– Ty. Ja. – Jego usta musnęły jej usta, wzbudzając w niej falę dreszczyków. – Nie wydaje mi się to... mądre.

– Skarbie, mądre czy nie, to nie ustanie.

Obsypywał pocałunkami jej policzki, brodę,

miejsce za uchem, a ona, zamiast go odepchnąć, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Ale powinno.

Od jego śmiechu, wydobywającego się z głębi piersi, przyspieszył jej puls.

– Nie sędzę. Przez cały zeszły tydzień próbowałem się otrząsnąć, ale to staje się coraz silniejsze.

– Więc próbuj mocniej – zażądała, zastanawiając się, czy w budynku jest automat z czekoladą.

– Naprawdę tego chcesz? – spytał, muskając ustami wrażliwą skórę na karku.

– Tak. – Nawet sama zorientowała się, jak mało przekonania było w jej stwierdzeniu.

– Nieładnie tak kłamać. – Odchylił się, by na nią popatrzeć, i od jego gorącego spojrzenia zabrakło jej tchu.

– Brenna, teraz cię pocałuję. A potem chcę, żebyś mi spojrzała w oczy i powiedziała, że nie czujesz, jak coś nas do siebie ciągnie.

Zanim zdążyła zaprotestować, dotknął ustami jej ust, a wtedy przestała myśleć o oporze. Nawet niepoohamowany apetyt na czekoladę, która miałyby uspokoić jej wzburzone nerwy, gdzieś się ulotnił.

– No, teraz mi powiedz, że tego nie czułaś – szepnął po jakimś czasie, wspierając się czołem o jej czoło.

– Ja... skłamałabym mówiąc, że nic nie czułam – odparła drżącym głosem. – Ale nie chcę płacić moją

niezależnością za możliwość odkrycia, co to było. Nigdy już nie dam mężczyźnie takiej władzy nad sobą.

Na widok bólu w jej oczach Dylanowi ścisnęło się serce.

– Kochanie, kto ci to zrobił?

– Co? – Odwróciła wzrok.

– Kto nasunął ci myśl, że mężczyzna chce panować nad kobietą, sprawić, by mu podlegała? – Gdyby mógł dostać w ręce tego łajdaka, z przyjemnością by go udusił.

– To... to nieważne – powiedziała, wyswobadzając się z jego objęć. – Niech ci wystarczy, że dostałam dobrą nauczkę.

– Brenna, to jest ważne! – wykrzyknął, kładąc jej ręce na ramionach. – Jeżeli masz mnie porównywać z innym mężczyzną, chciałbym wiedzieć dlaczego.

Gdy już myślał, że mu nie odpowie, zaczerpnęła głęboko tchu.

– Poznałam Toma na ostatnim roku college'u. Studiował prawo, a ja zamierzałam zrobić dyplom z zarządzania biznesem. Żeby się nad tym za bardzo nie rozwodzić, powiem ci tylko, że zaczęliśmy się spotykać i zakochaliśmy się w sobie. – Pokręciła głową. – Nie, to nie tak.

Myślałam, że się w nim zakochałam, a on uważał, że to mu daje prawo do manipulowania i rządzenia mną.



– Co chcesz przez to powiedzieć?

Cieężko westchnęła.

– Z czasem przekonał mnie, żebym się ubierała tak, jak on sobie tego życzył, mówił mi, jak mam się czesać i kiedy mam być na diecie. – Gdy się roześmiała, ten śmiech wyrażający pogardę dla siebie zabolął Dylana.

– Byłam naiwna i chciałam podobać się mężczyźnie, którego kochałam, więc całkowicie mu się podporządkowałam. Potem, gdy zrobiłam dyplom, namówił mnie, żebym mu pomagała finansowo przez ostatni rok jego studiów.

Dylan poczuł, jak coś mu się zaciska w piersi. Już wiedział, co Brenna zaraz powie.

– Jak długo...

– Zanim mnie rzucił?

– Nie chciałem tego ująć w ten sposób – powiedział łagodnie. Wyglądała tak żałośnie, że z powrotem ją przytulił.

– Ale tak było. – Wzruszyła ramionami. – Właśnie tak się stało. Gdy tylko zrobił aplikację. Tom mówił, że pieniądze, które daję mu na studia, to inwestycja w naszą przyszłość, a ja mu wierzyłam.

Dylan zacisnął zęby. Jakim łajdakiem musiał być tamten mężczyzna! Jak mógł narazić Brennę na takie upokorzenie i cierpienie! Gdyby tylko mógł go dopaść, drań gorzko by pożałował, że w ogóle się urodził.

Wziął twarz Brenny w ręce i spojrzał w jej śliczne niebieskie oczy.

– Skarbie, przysięgam ci, że w tej sprawie na pewno nie będziesz się musiała na mnie skarżyć. Nie mam obsesji na punkcie rządzenia ludźmi. Podobasz mi się taka, jaka jesteś. I nic od ciebie nie chcę prócz przyjemności, jaką mi daje przebywanie z tobą.

Patrzyła na niego przez kilka długich sekund, a potem odstepiła do tyłu i poszła spakować torbę. Okazuje się, pomyślał, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż mogło mu się wydawać. Najwyraźniej nie tylko on ma za sobą przeszłość, o której wolałby zapomnieć.

Poszedł za nią, objął ją od tyłu w pasie i szepnął do ucha:

– Posuwajmy się do przodu po jednym kroczku i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Ale...

– Jeden krok na raz, skarbie. – Odwrócił ją do siebie.

– Ale powinienem cię ostrzec. Zamierzam cię poprosić, żebyś w sobotę wieczorem poszła ze mną do Luke'a. – Uśmiechając się, odstepił o krok, żeby nie czuła się przytłoczona jego bliskością. – Wiesz, zamierzam u niego zaszaleć i zamówić szarlotkę do kawy. Co ty na to?

Przez chwilę się zastanawiała.

– A czy dla mnie znalazłoby się może ciasto

czekoladowe?

W pierwszą sobotę grudnia Brenna spotkała się przed swoim sklepem z członkiniami Towarzystwa Upiększania Miasta. Na szczęście zimy w południowo-zachodnim Teksasie są łagodne, a dziś pogoda była po prostu cudowna. Słońce świeciło jasno, było kilkanaście stopni ciepła, w powietrzu nie wyczuwało się nawet śladu wilgotności. Idealne warunki do malowania.

– A więc, moje panie, chyba najlepiej będzie pracować w parach – oświadczyła, sprawdzając swoje notatki. – Mildred, wpisałaś tu, że na Main Street jest hydrant.

Mildred Bruner podeszła bliżej.

– Tak. Po zachodniej stronie. – Zachichotała. – Przed remizą i biurem szeryfa.

Brenna roześmiała się.

– Nie wyobrażam sobie, żeby akurat w remizie miał wybuchnąć pożar. – Jeszcze raz sprawdziła notatki. – Proponuję, by panie po dwie zajęły się pozostałymi hydrantami, a ten pomaluję sama.

– Och, tak będzie najlepiej. Przecież ty i Dylan chodzicie ze sobą – zachwyciła się pani Worthington. – Może pomaluj go tak, by wyglądał jak Dylan w stroju świętego Mikołaja? I dodaj jeszcze gwiazdę na piersi.

– Wspaniały pomysł! – zawołała jedna z kobiet, a

reszta z aprobatą pokiwała głowami.

Brenna słabo się do nich uśmiechnęła. Nie dość, że babcia ciągle nawiązuje do jej znajomości z Dylanem, teraz jeszcze to samo robią wszystkie tutejsze kobiety. Miała jednak nadzieję, że nie posuną się tak daleko, jak Abigail. Bo właśnie dziś rano, jeszcze zanim Brenna zdążyła wyjść, babcia ją spytała, jaki poncz by jej najbardziej odpowiadał na weselną ucztę.

– W ogóle uważam, że należy pomalować wszystkie hydranty tak, by wyglądały jak nasi mężowie przebrani za świętych Mikołajów – powiedziała Emily Taylor.

Uśmiechnęła się nieśmiało do Brenny. – Ja zajmę się tym, który znajduje się przed naszym sklepem. Upodobnię go do mojego Eda.

Helen Washburn energicznie skinęła głową.

– A ja pomaluję ten przed naszym domem tak, żeby był jak Luke. – Spojrzała na zegarek. – Brenna, naprawdę myślisz, że zdążymy dziś ze wszystkim?

– Na pewno – odparła z uśmiechem.

– To bardzo dobrze! – zawołała Helen. – Dziś jest sobota i wieczorem wszyscy zejdą się w naszym barze. Będą mieli okazję podziwiać to, co już zrobiliśmy.

– A więc do roboty! – popędziła je Cornelia, wyciągając z torby przybory. – Brenno, moja droga, co mamy robić?

– Dobierzcie się parami – instruowała pałające chęcią czynu kobiety. – Jedna będzie malowała przód hydrantu, a druga tył.

Po upewnieniu się, że wszystkie panie wiedzą, jak zabrać się do pracy, Brenna podeszła do hydrantu przed biurem Dylana. Pracowała szybko i wkrótce dzieło było gotowe.

– Moja droga, doskonale uchwyciłaś podobieństwo. – Cornelia przez chwilę oceniała pracę Brenny, a potem spojrzała w drzwi biura. – Ale gdzie jest Dylan? Nie ma dziś dyżuru?

– Pojechał w góry pomóc szukać kilku wspinaczy.

Chyba nie wróci przed wieczorem. W biurze jest Jason, jeśli pani czegoś potrzebuje.

– Nie, nie. Ale czy Dylan nie wspomniał ci, co myśli o naszym Towarzystwie i planach udekorowania Main Street? – spytała przyciszonym, trochę zaniepokojonym głosem.

– Wie, że Towarzystwo zamierza wprowadzić pewne ulepszenia, ale nie opowiadałam mu o szczegółach. A dlaczego pani pyta?

– Po prostu się zastanawiałam. – Cornelia westchnęła.

– Wczoraj wieczorem Myron prawie dostał apopleksji, gdy mu powiedziałam, że dziś zaczynamy.

Brenna uśmiechnęła się, patrząc na swoje dzieło.

– Jestem pewna, że się uspokoi, gdy zobaczy tych rozkosznych facecików. Jak ktokolwiek mógłby nie być zachwycony hydrantami wyglądającymi jak najważniejsze osoby w mieście ubrane w stroje świętego Mikołaja?

Dylan dojeżdżał do miasta. Był zmęczony. Nienawidził, gdy ludzie bez alpinistycznego doświadczenia szli w góry. Na szczęście obaj niefortunni wspinacze zostali odnalezieni, i chociaż byli przerażeni niemal na śmierć nocą spędzoną na stoku bez żadnego wyposażenia, nie stało im się nic poważniejszego.

Myśląc o chłopcu, którego znaleźli dopiero po południu, przez chwilę nie rozumiał, co ma przed oczami. Zwolnił i z otwartymi ustami gapił się na przeobrażoną Main Street. Zamiast zwykłych przeciwpożarowych hydrantów, na każdym rogu stał niski, przysadzisty, jaskrawo pomalowany święty Mikołaj.

Z ust wyrwała mu się wyszukana wiązanka przekleństw. Co za okropność! Największe paskudztwo, jakie w życiu widział. Nawet paskudniejsze niż tandetna peruczka, którą Cornelia kazała mężowi wkładać na sobotnie wieczory u Luke'a.

Parkując przed swoim biurem, w pierwszej chwili nie zauważył Mikołaja stojącego przed budynkiem.

Wyskoczył z samochodu i pobiegł do drzwi. Musi natychmiast się dowiedzieć, co się tu dzieje. W biegu wpadł na hydrant i instynktownie pochylił się, by rozetrzeć bolące kolano. Ale palce przylepiły mu się do dżinsów. Popatrzył najpierw na rękę, potem na spodnie. Gdyby jego świętej pamięci matka usłyszała słowa, jakie mu się na ten widok wyrwały, chyba kazałaby mu wymyć usta mydłem.

– Jason, do diabła, co tu się dzieje?! – ryknął, wpadając do biura.

Przebudzony gwałtownie z drzemki, Jason omal nie spadł z krzesła. Zerwał się na równe nogi, wyszarpnął z kabury rewolwer.

– Zamieszki? Mam wezwać wsparcie?

– Nie, do jasnej cholery! – warknął Dylan niecierpliwie. – Co się stało z hydrantami?

Jason uspokoił się.

– Zauważyłeś podobieństwo? – spytał.

– Jakie podobieństwo?

– No, to dopiero będzie! – Roześmiał się i skinął na Dylana, by szedł za nim.

– Do diabła, Jason, nie mam ochoty na jakieś zabawy – mruzczał Dylan, ale szedł za swoim zastępcą.

Krztusząc się ze śmiechu, Jason pokazał hydrant, na który Dylan dopiero co wpadł.

– Przypomina ci kogoś?

Dylan obszedł hydrant wkoło. Zobaczył miniaturkę

siebie samego, w stroju świętego Mikołaja, z gwiazdą na piersi. Człowieczek idiotycznie szczyrzył do niego zęby.

– Towarzystwo Upiększania zrealizowało dziś pierwszy etap swojego planu – wyjaśnił Jason. Pokręcił głową.

– To pierwszy raz, odkąd pamiętam, że w ogóle coś zrobiły, zamiast tylko wymieniać najnowsze plotki.

Dylan w osłupieniu przyglądał się hydrantowi. Wreszcie trochę otrzeźwiał.

– Myron już dzwonił? – spytał. Potrafił sobie wyobrazić jego wściekłość, gdy o wszystkim się dowie.

– Nie – zachichotał Jason. – Ale spośród radnych tylko on jeszcze się nie odezwał.

– Zadzwoń do niego, a ty powiadom Eda i Luke'a – rozkazał Dylan, wracając do biura. – Powiedz im, że chcę ich tu widzieć w poniedziałek z samego rana. Nie przyjmuję żadnych wymówek.

– A nie zobaczysz się z nimi wieczorem U Luke'a? – zdziwił się Jason, podnosząc słuchawkę. – Przecież tam możecie pogadać.

Dylanowi aż wszystko się w środku skurczyło na myśl o skargach, jakich będzie musiał wysłuchiwać.

– Nie idę dziś do Luke'a. Jakoś nie jestem w nastroju.



Dwie godziny później stał na świeżo wyreperowanym ganku Brenny. Gdy otworzyła mu drzwi, poczuł się tak, jakby właśnie wzeszło słońce. Jej uśmiech, iskierki radości w oczach, wprawiły jego serce w galop. Ucieszyła się na jego widok!

Przyciągnął ją do siebie.

– Idziesz do Luke'a? – spytał.

– Raczej nie. – Wydawała się zatroskana. – Czy coś się stało?

– Nie – skłamał. – Wszystko w porządku. Po prostu trochę się zmęczyłem, to wszystko.

– Ja też. – Wzięła od niego kapelusz i kurtkę, powiesiła na wieszaku, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała na niego z zadowolonym uśmiechem. – Pomagałam malować...

Dylan natychmiast nakrył jej usta swoimi. Nie chciał, by mówiła mu, co zamierza. Widział na własne oczy owoce jej pracy i wolał uniknąć wszelkich komentarzy.

– Tęskniłem za tobą – wyszeptał.

– Pete, nie wiem, czy powinniśmy dziś iść do Luke'a.

Wygląda na to, że najlepsze przedstawienie odbędzie się tutaj.

Dylan spojrzał nad ramieniem Brenny i zobaczył Abigail. Stała, uśmiechając się z aprobatą, za nią nadchodził Pete.

– Tak, ale to ich przedstawienie, cukiereczku. –

Pete pocałował Abigail w policzek. – Ja wolę nasze własne.

No, idziemy.

– Bawcie się dobrze – powiedział Dylan.

Abigail puściła do niego oko. \*

– Życzymy wam tego samego, ale widzę, że i bez naszych życzeń doskonale sobie poradzicie.

– Bierzemy twoje auto, Dylan – oznajmił Pete, ciągnąc Abigail do drzwi. A potem dodał ścisząc głos: – Wracamy koło północy. Ale jeżeli będziemy chcieli wrócić wcześniej, zadzwonię, żeby cię uprzedzić.

– Bardzo dziękuję, wujku – roześmiał się Dylan.

Gdy wreszcie wyszli, objął Brennę i pokierował do kanapy.

– Nie przeszkadza ci, że zostaniemy tu i obejrzymy jakiś film?

Pokręciła głową.

– Nie. Nawet się cieszę. Zmęczyłam się, pomagając malować hydranty. – Zauważyłeś nasze dzieło? – spytała, siadając obok niego.

No właśnie. Rozmowa, której za wszelką cenę pragnąłby uniknąć. Miał prawie całkowitą pewność, że gdyby jej powiedział, co naprawdę myśli, nigdy więcej już by się do niego nie odezwała. Ale, z drugiej strony, sumienie nie pozwoliło mu skłamać. Odchrząknął.

– Ee... tak. Widziałem.

– No i jak ci się podobało? Są wspaniałe, prawda?

– Rzeczywiście, są jedyne w swoim rodzaju – powiedział wymijająco. Zerwał się na nogi. – Masz popcorn?

Przecież nie można oglądać filmu bez popcornu.

Zdziwiona tak nagłą zmianą tematu, skinęła głową.

– Jasne. Chodźmy do kuchni. Włożę ziarno do kuchenki mikrofalowej. Porozmawiamy, kiedy się będzie prażyło.

– A nie wzniesiesz znów pożaru? – drażnił się z nią szczęśliwy, że przynajmniej na chwilę udało mu się oddalić niebezpieczeństwo.

Wykrzywiła się do niego.

– Jeżeli kuchenka działa jak trzeba, nie masz się czego obawiać. – Włożyła kukurydzę, nastawiła czas.

– Ale jeszcze mi nie powiedziałaś, co myślisz o hydrantach.

Popatrzył gdzieś w bok. Co ma odpowiedzieć, skoro ona jest taka zadowolona ze swojego dzieła? Prawdę? Że są obrzydliwe?

– Nie zwróciłem specjalnej uwagi.

– Och, jaka ja jestem głupia. Oczywiście, że nie. Szukałeś w górach tych dwóch turystów. – Dylan poczuł się jeszcze gorzej, gdy spojrzała na niego ze zrozumieniem.

– Słyszałam, że nic im się nie stało – dodała, wyjmując kukurydzę i wrzucając ją do salaterki.

– Spędzili na dworze całą noc, więc byli na śmierć

wystraszeni, głodni i przemarznięci, ale nic poza tym.

– Ty też na pewno się o nich niepokoiłeś – powiedziała ze współczuciem.

Musi szybko zmienić temat. Im bardziej Brenna okazywała mu zrozumienie, tym gorzej się czuł. Chwycił salaterkę.

– Chodź, bo stracimy początek filmu.

Brenna patrzyła ze zdumieniem, gdy Dylan rejterował z kuchni. Coś tu było nie tak, a ona zamierzała się dowiedzieć co.

– Dylan, co się dzieje? – spytała, idąc za nim do pokoju. – Od chwili, gdy wspomniałam o hydrantach, zachowujesz się bardzo dziwnie.

Mogłaby przysiąc, że zadrzał. Ale bardzo szybko się opanował.

– Dlaczego myślisz, że coś się dzieje?

– Bo jesteś jakiś nieswój. I nie mów mi, że to tylko ze zmęczenia. – Podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach. – Nie możesz mi po prostu powiedzieć, że nie podobają ci się pomalowane hydranty?

Opadł na kanapę, oparł wygodnie głowę i zamknął oczy.

– Nie chcę ranić twoich uczuć.

– Prawda na pewno rani mniej niż kłamstwo. Więc powiedz mi, co naprawdę o nich myślisz.

Otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i przez chwilę tylko na nią patrzył. Potem wziął głęboki

oddech.

– No więc, prawdę mówiąc, są obrzydliwe.

– Widzisz, nie zraniłeś moich uczuć – powiedziała, siadając obok niego.

– Nie jesteś zła?

– Nie. – Wzięła z salaterki garść popcornu i włożyła mu do ust. – Przyzwyczaiłeś się do takich, jakie były. Poza tym nie będą wyglądały tak dziwnie, gdy wykonamy drugi etap naszego planu.

Odstawił salaterkę na stolik.

– Więc jest też drugi etap?

Brenna skinęła głową.

– Zamierzamy...

Ale zanim zdążyła opowiedzieć mu o projektach udekorowania miasta na Boże Narodzenie, Dylan gwałtownym ruchem posadził ją sobie na kolanach i zaczął całować tak namiętnie, że natychmiast zapomniała o całym świecie.

## Rozdział 6

Na poniedziałek rano Dylan wezwał burmistrza i rajców na naradę. Gdy wszyscy już się zebrali, zatrzęsął drzwi swojego gabinetu.

– Który z was pozwolił Towarzystwu Upiększania pomalować hydranty? – zaczął bez wstępów, gestem wskazując trzem mężczyznom krzesła.

– Na pewno nie ja – warknął Luke Washburn.

Ed Taylor pokręcił głową.

– Ja też nie.

Wszyscy spojrzeli na Myrona, bo całkowicie wbrew swoim zwyczajom milczał i tylko nerwowo skręcał rzemyk krawata. Dylan pomyślał, że jeszcze chwila, a zaciśnie sobie pętlę na szyi.

– Myron, czy wiesz, kto wpadł na taki idiotyczny pomysł i udzielił im zezwolenia? – spytał, ale już znał odpowiedź.

Okrągłutki burmistrz zaczerwienił się jak burak.

– Cornelia zapewniała, że to wszystko będzie w dobrym guście i...

– W dobrym guście?! – wykrzyknęli jednocześnie pozostali mężczyźni.

– Do diabła, Myron, jak mogłeś? – jęknął Luke z niesmakiem.

– Powiedziała, że jeśli się nie zgodzę, będę spał na kanapie tak długo, aż nabiorę rozumu – wyjaśniał

zrozpaczony Myron.

– Tęskno by ci było za nią, co? – zaśmiał się Ed.

Myron parsknął.

– Eee, do diabła, nie martwiłbym się tym, że mam spać samotnie albo przez chwilę się obywać... bez tego. Tylko że w tej cholernej kanapie akurat na samym środku wystaje sprężyna. – Potarł plecy, jakby poczuł ukłucie. – Cornelia nie naprawia jej chyba właśnie po to, by mieć czym mi grozić, kiedy nie spełniam jej żądań.

Dylan ciężko westchnął.

– Samo pozwolenie na wymalowanie hydrantów to właściwie nic takiego. Chciałbym jednak wiedzieć, kto miał taki genialny pomysł i wypacykował moją twarz na tym, który stoi przed biurem.

– One pomalowały wszystkie hydranty tak, żeby były podobne do któregoś z nas – poskarżył się Luke.

– Ten przed naszym domem wygląda jak cholerny troll z moją twarzą.

– Taaa, i do tego pijany w sztok – parsknął Ed.

– Na twoim miejscu tak bym się nie cieszył z mojego nieszczęścia, Taylor – roześmiał się Luke. – Twoja żona zrobiła ci zezowate oczy.

– No właśnie. – Ed pokręcił głową. – Powiedziałem Emily, żeby sprawiła sobie okulary albo porzuciła to diabelskie malarstwo. Wiem, że nie jestem specjalnie przystojny, ale chyba nie wyglądam aż tak prostacko.

– Dylan, ty za to jesteś z jakichś powodów uprzywilejowany. Ciekawe dlaczego? Bo wypadłeś najlepiej z nas wszystkich.

– To prawda – przyznał Ed. – Ta dziewczyna Montgomerych przynajmniej umie malować.

Gdy Ed wspomniał Brennę, Dylan poczuł się tak, jakby malutki Szkot w podkutych butach zaczął mu tańczyć w brzuchu skoczego jiga. Nie dość, że nie potrafi uporać się ze swoimi uczuciami wobec Brenny, to jeszcze ma teraz na głowie dodatkowe komplikacje z Towarzystwem Upiększania.

– Dylan, ty się z nią widujesz. – W głowie Eda kłuł się jakiś pomysł.

– Taaa, a nasze kobiety nie paliły się do stawiania na głowie wszystkiego, co do tej pory było dobre, dopóki ona nie przyjechała do miasta i nie zaczęła prowadzić tych przeklętych lekcji – pożalił się Luke.

– Dylan, musisz coś z tym zrobić! – Ed znalazł w końcu rozwiązanie problemu.

– Dlaczego ja? Przecież to wasze żony wpadły na pomysł malowania hydrantów. Poza tym nie będę mówił Brennie, co ma robić. Nie jestem z nią związany.

– O tak, jesteś. – Myron zerwał się na nogi i zaczął spacerować w tę i z powrotem przed biurkiem Dylana. – Jeżeli chcemy położyć kres ich działalności, zanim całkowicie zniszczą miasto, musisz się koło niej bardziej zakręcić.



– To prawda, Dylan – popart Myrona Ed. – Znając nasze kobiety, jeżeli natychmiast ich nie powstrzymamy, na wiosnę będziesz jeździł radiowozem wymalowanym w różowe i żółte stokrotki.

– A ponieważ nie jesteś żonaty, twoje kłopoty będą niczym w porównaniu z naszymi – dodał Luke.

Dylan wiedział, że poniósł klęskę.

– Ale co ja mogę na to poradzić? Brenna jest samodzielną kobietą. Nie mogę jej mówić, co ma robić. Przecież wy też nie potraficie wymusić niczego na swoich żonach.

Myron zamyślił się.

– Nie chodzi o to, byś coś jej mówił, chłopcze. Spróbuj się tylko dowiedzieć, co jeszcze mają w zanadrzu. A potem powiedz nam, żebyśmy mogli je powstrzymać, zanim wystawią nasze miasto na pośmiewisko.

Ed wstał.

– No, skoro to uzgodniliśmy, idę kupić czekoladki dla Emily.

– Dlaczego? – zdziwił się Luke.

– Na przeprosiny. Myronowi może i jest obojętne, że musi spać sam, ale mnie nie.

– Ani mnie. – Luke też ruszył do drzwi. – Helen się obraziła, gdy jej powiedziałem, że powinna rzucić malowanie, a zamiast tego kupić sobie psa do zabawy.

– Skoro wy obaj kupujecie czekoladki dla swoich żon, chyba pójdę za waszym przykładem – powiedział Myron.

A widząc ich pytające spojrzenia, wzruszył ramionami.

– Potrzebuję jakiegoś ubezpieczenia przeciw tej przeklętej kanapie.

Dylan patrzył, jak wychodzą. Przyparli go do muru. Niezależnie od tego, w którym kierunku się obróci, i tak nie wygra.

Z jednej strony całym sercem zgadzał się z mężczyznami. Kobiety dostały jakiegoś bzika i Bóg jeden tylko wie, co jeszcze wykombinują.

Ale z drugiej strony, nie mógł zapomnieć jaśniejących radością oczu Brenny, gdy mówiła o swojej roli w planach T. U. M. Była taka szczęśliwa, że panie wciągnęły ją do swego grona. A on wolałby sobie uciąć język, niż zniszczyć tę radość.

Jego spojrzenie padło na zegar. Prawie już minął czas lunchu. Nie mógł uwierzyć, że stracił całe przedpołudnie na wysłuchiwanie bezsilnych skarg członków rady, a potem na rozmyślania, jak on sam może temu wszystkiemu zaradzić.

Kręcąc głową, postanowił, że po prostu przestanie o tym myśleć. Nawet gdyby siedział tu do wieczora i tak nie znajdzie żadnego rozwiązania. Poza tym zaczynał już być mocno głodny.

Brenna potknęła się, biegnąc ulicą. Gdzie ona miała głowę, gdy decydowała, że pójdzie na piechotę ze sklepu do szkoły? Przez tę godzinę, kiedy pracowała z czwartą klasą, okropnie się ochłodziło i zaczął padać zimny, wprost lodowaty deszcz.

Gdyby tylko zaczekał jeszcze kilka minut, zdążyłaby dojść do sklepu. Ale deszcz nie czekał, a ona była teraz przemoczona na wylot i przemarznięta do szpiku kości.

Po raz już chyba setny wyrzucała sobie, że na dzisiejszą lekcję historii ubrała się jak na polinezyjskie święto, jak dziewczyna hula, w spódniczkę z trawy, która teraz kleiła jej się do nóg i kłuła, a poza tym od wilgoci ważyła chyba sto kilo. Na dodatek rozpuszczone włosy zasłaniały jej oczy i przy każdym porywie wiatru lepily się mokrymi pasmami do twarzy.

Ale najgorzej ucierpiały stopy. Klapiące pantofle wcale ich nie chroniły. Co chwila wpadała w kałuże i bryzgi wody sięgały jej po szyję. Na szczęście miała ze sobą bluzę, więc jej jaskraworóżowy stanik był przyjemnie ciepły. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Że też na dzisiejszą lekcję nie mogła wybrać opowieści o Nanuku z Północy i ubrać się w anorak!

Starając się nie myśleć o swoim nieszczęsnym położeniu, przez dobrą chwilę nie uświadamiała sobie, że obok niej zatrzymał się samochód szeryfa.

– Wsiadaj! – zawołał Dylan przez okienko.

Z radości na jego widok Brenna nawet nie pomyślała, że jej rozkazuje, zamiast prosić. Szybko otworzyła drzwi i wskoczyła na siedzenie pasażera. Co za ulga znaleźć się w ciepłym, suchym miejscu!

– Ppogoda w sssam raz dla kaczek, co? – Drżała i zęby jej szczękały.

– Do licha, skarbie, jesteś zmarznięta na kość. – Dylan włączył ogrzewanie na cały regulator. Gdy owiało ją ciepłe powietrze, poczuła się jak w niebie.

– Dzziękuję – udało jej się powiedzieć przez szczękające zęby.

Dylan zaczął jej rozcierać ramiona.

– Dlaczego nie pojechałaś do szkoły samochodem? Nie słyszałaś porannej prognozy?

– Nie sssłuchałam rano radia. Pppoza tym myślałam, że skończę lekcję, zanim zacznie padać. – Powoli zęby zaczęły trafiać na swoje miejsce, a ciepło płynące z rąk Dylana przenikało do jej wnętrza. – Niestety, myliłam się.

– Najwyraźniej – stwierdził sucho. Pomógł jej zdjąć mokrą bluzę i okrył ją swoją suchą skórzaną marynarką.

Jego wzrok przesuwiał się po niej leniwie, przez chwilę zatrzymał się na sportowym staniku, a potem powędrował niżej, na spódniczkę. Sklejone pasma trawy rozdzieliły się, ukazując nogi w pełnej krasie. Widząc, na co Dylan patrzy, zaczerwieniła się i

spróbowała się osłonić.

– Obawiam się, że ten strój nie jest najbardziej odpowiedni na taką pogodę – przyznała. Przeszył ją nowy dreszcz. Nie wiedziała, czy od zimna, czy od tego, jak Dylan na nią patrzy.

Jego wydobywający się z głębi piersi śmiech przyprawił ją o gęsią skórę, nie mającą nic wspólnego z przemarznięciem.

– Mówiąc szczerze, bardzo mi się ten kostium podoba.

Najbardziej ze wszystkiego, w czym cię do tej pory widziałem. – Uśmiechnął się, przyprawiając ją o następny dreszcz. Jednak zaraz spoważniał. – Masz w sklepie coś na zmianę?

– Nie, ale zabrałam ciepłe rzeczy ze sobą. – Wyciągnęła z torby golf i dżinsy. Były tak mokre, że mogłaby je wyżymać. – Ach, jeszcze kilka minut temu były suche – jęknęła – No to najpierw zawiozę cię do domu, żebyś się przebrała, a dopiero potem pojedziemy do sklepu – zdecydował.

– Wgląda na to, że Pete i twoja babcia mają jakieś plany na popołudnie – zauważył, gdy dojechali przed jej dom. Z podjazdu właśnie odjeżdżał jego stary samochód z Pete'em i Abigail. – Ciekawe, gdzie się wybierają.

– Babcia wspomniała coś o Alpine – mruknęła Brenna, grzebiąc w torbie. – Chciałbyś przyjść na

film po kolacji?

– Jasne. O której?

– Zaraz po zamknięciu sklepu jestem umówiona na zebranie, ale chyba do siódmej się skończy. – Dalej szukała czegoś w torbie, aż wreszcie ciężko westchnęła. – No, pięknie. Musiałam rano zostawić klucze na szafce i teraz nie mogę wejść do domu.

– Nie trzymacie zapasowych pod słomianką albo w skrzynce na kwiaty?

Brenna pokręciła głową.

– Nie. Babcia mówi, że to pierwsze miejsca, do których zagląda złodziej.

– To prawda – przyznał Dylan. – Ale większość ludzi i tak to robi. Ja zawsze radzę, by nosić zapasowy klucz w torebce. A w sklepie też nie masz?

– Nie.

Dylan zawiadomił przez radio Jasona, że wróci później, niż zapowiadał, i wyjechał na ulicę.

– Więc chyba pojedziemy do mnie.

– Nie możemy – sprzeciwiła się. – Muszę z powrotem otworzyć sklep.

– Wątpię, by przy takiej pogodzie przyszło wielu klientów, ale pożyczę ci dres i odwiozę do miasta.

Od myśli o tym, że Brenna włoży jego rzeczy, zrobiło mu się gorąco.

Starał się nie myśleć, że wkrótce będzie z Brenna w swoim domu. Że będą tam sami. A ona się rozbierze i włoży jego ubranie. Nad górną wargą

pojawiły mu się kropelki potu.

– Mam nadzieję, że babcia i Pete dojechali bezpiecznie do Alpine – odezwała się w pewnym momencie Brenna, przywracając go do rzeczywistości.

– Na pewno. – Zatrzymał samochód przed domem.

– Pete wie, jak prowadzić przy tym północnym wietrze.

– Otworzył drzwi, obszedł samochód. – Dobrze chociaż, że tylko pada deszcz, a nie ma śniegu.

– Jest wystarczająco zimno, by spadł śnieg – zauważyła Brenna, drżąc.

Objął ją w pasie, postawił na ziemi i aż zazgrzytał zębami, czując pod ręką jej aksamitną skórę. Ich spojrzenia się spotkały. Spozrzegł, że jest tak samo spięta jak on. Szybko odstąpił o krok i zaczął, aż wejdzie na schodki.

Może jednak zaproszenie Brenny do domu nie było najlepszym pomysłem. Próbował zachować się jak dżentelmen, ale wszystko się przeciw niemu sprzysięgło. Będzie sam z Brenna, a od patrzenia na nią w tym polinezyjskim mokrym stroju burzyła mu się krew. Niebezpieczna kombinacja. Jego dobre intencje mogą nie wystarczyć. Gdy weszli, sięgnął do kontaktu i zaklął.

– Chyba wiatr zerwał linię elektryczną. Zaczekaj tu, zaraz wracam.

W kuchni zapalił lampę naftową i wrócił do

bawialni. Brenna stała w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił, zmarznięta, mokra, i bardziej godna pożądania niż jakakolwiek kobieta, jaką w życiu widział.

– Zaraz poszukam ci suchych rzeczy – powiedział, stawiając lampę na okapie kominka.

W sypialni starannie omijał wzrokiem swoje szerokie łóżko. Mimo to wyobraźnia pogalopowała, wymyślając najrozmaitsze scenariusze tego, co mogliby tu robić.

Nagle niebo przecięła błyskawica i w bawialni rozległ się krzyk przerażenia.

– Nic ci się nie stało? – zawołał, biegnąc korytarzem.

Brenna stała przy oknie.

– Nie, nic. Ale wystraszyłam się, gdy piorun uderzył w tamto drzewo.

– Coś podobnego! – mruknął, stając obok niej.

Po dębie pozostał tylko tłący się pień, a drzewo blokowało podjazd. Niewiarygodne, jak los potrafi zniweczyć wszelkie dobre intencje. Byli w pułapce. Nie mieli jak wrócić do miasta. I dopóki burza nie ustanie, nie będzie można użyć elektrycznej piły do pocięcia pnia. A jeżeli prognoza była trafna, burza będzie trwała aż do jutrzejszego popołudnia.

Dylan z trudem przełknął ślinę. Będą musieli tu spędzić noc. Razem. Sami.

Popatrzył w dół, jego wzrok napotkał gwiazdę



przypiętą na piersi. Gwiazda symbolizowała sprawiedliwość, uczciwość i honor – zasady, którymi starał się kierować przez całe życie. Ale w tej chwili nie był wcale pewny, czy zaraz ich nie złamie.

Popatrzył na Brennę. Z każdą mijającą chwilą jego myśli stawały się coraz mniej uczciwe, za to coraz bardziej lubieżne.

Gwałtownym ruchem wcisnął jej w rękę dres i grube skarpety i podszedł do kominka.

– Przebierz się, a ja rozpalę ogień. – Nie patrząc na nią, zazgrzytał zębami i dodał: – Pobędziemy tu jakiś czas.

– Pomóc ci w czymś? – spytała Brenna.

Pokręcił głową.

– Nie ma wiele do zrobienia. Po prostu posiedzimy sobie i zaczekamy, aż burza przejdzie.

Brenna zakasała do łokci rękawy o wiele na nią za dużego dresu i sięgnęła po swoją torbę. Proszę, błagała los, niech tu będzie przynajmniej jeden batonik. Ale znalazła tylko kupon na pół dolara, który dostała, gdy ostatnio kupowała sobie czekoladę.

Westchnęła. Utknęli w tym przytulnym domku i będą tak siedzieć, póki pogoda się nie zmieni. Spojrzała w okno. Nie wyglądało na to, by żywioły wkrótce się uśmierzyły.

– Na wypadek, gdybyś się nad tym zastanawiała,

muszę ci powiedzieć, że najpewniej spędzimy tu noc  
– odezwał się Dylan.

– Tak właśnie myślałam – zgodziła się.

Jak jej się udało powiedzieć to tak spokojnie, chociaż cała drżała, a puls walił jak bębenek? Musi to jakoś zagadać.

– Nie mógłbyś przeciągnąć tego pnia explorerem?

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Odwrócony do niej plecami kontynuował: – I dopóki burza nie ucichnie, nie mogę go przepiłować. – Zachichotał. – Nie boję się piorunów, ale podczas burzy lepiej nie używać elektrycznej piły.

– Rzeczywiście, masz rację – przytaknęła, wpatrując się w powalone drzewo. – Chyba zadzwonię i powiem, że nie będę mogła być na zebraniu. Myślisz, że telefon działa?

Dylan poszedł sprawdzić.

– Nie. Linia jest zerwana.

– Więc jak zawiadomię panie z komitetu, że nie przyjdę?

– Jeśli chcesz, porozumiem się przez radio w radiowozie z Jasonem. I tak zresztą muszę go zawiadomić, gdzie jestem. Masz listę osób, do których chcesz zadzwonić?

Brenna wydarła kartkę z notesu i podała mu ją.

– Poproś go też, by powiedział im, że przekładamy zebranie na przyszły tydzień. Ach, i jeszcze coś. Czy mógłby zadzwonić do mnie do domu i zostawić dla

babci na sekretarce wiadomość, gdzie jestem?

– Jasne.

Dylan wyszedł, a Brenna skuliła się na kanapie i wpatrzyła w płonące na kominku polana. Gdy po lunchu wychodziła do szkoły, nie przypuszczała, że będzie musiała spędzić noc z Dylanem.

Pokręciła głową. Nie. Przecież nie spędzi z nim nocy. Po prostu przenocuje w jego domu, a przez przypadek on też tu będzie.

Wzięła głęboki oddech. Męski zapach ubrań Dylana działał na jej zmysły. Poczowała dreszcz strachu. Zamknęła oczy, by uspokoić drzenie w dole brzucha. Od tyłu już dni wmawiała sobie, że spędza z nim czas, bo to lepsze niż siedzieć w domu samej, gdy babcia wychodzi z Pete'em. Ale niezależnie od tego, co sobie wmawiała, prawda była taka, że zaczynała być nieprzytomnie zakochana w Dylanie. A to napawało ją prawdziwym lękiem.

Przeklinając z całej duszy, Dylan odwiesił mikrofon na deskę rozdzielczą. Najchętniej rozniósłby radio na kawałki.

Gdy przekazywał Jasonowi instrukcje Brenny, do gabinetu wszedł Myron. Dowiedziawszy się, że utknęli razem w domu Dylana, rozkazał mu zrobić wszystko, co w tej sytuacji samo się narzucało, by ją powstrzymać przed realizacją projektów Towarzystwa Upiększania.

Dylan daremnie mu tłumaczył, że to po prostu przypadek. Myron nie słuchał. Potrafił myśleć tylko o tym, że zebranie zostało przesunięte o tydzień i dzięki temu mężczyźni będą mieli dodatkowy czas na opracowanie kontraktaku.

Westchnął ciężko. Miał już dość słuchania o Towarzystwie Upiększania, o Main Street i mężczyznach, którzy zawzięli się, by uniemożliwić kobietom wprowadzanie zmian.

Zatrzymał się z ręką na klamce. Miał dwie drogi do wyboru. Albo spędzi resztę dnia z poczuciem winy, że bierze udział w męskim spisku zmierzającym do powstrzymania kobiet z Tranquillity w realizacji ich planów, albo zapomni o tym i będzie się cieszył towarzystwem Brenny.

Po raz pierwszy od wielu godzin uśmiechnął się. Już wiedział, co wybierze, i do diabła z Myronem, Towarzystwem Upiększania i projektem na Main Street!

Resztę dnia i noc spędzi, koncentrując całą uwagę na najcudowniejszej, najbardziej podniecającej i godnej pożądania kobiecie, jaką w życiu znał.

## Rozdział 7

– Jeszcze jedną? – spytał Dylan, podając Brennie na długim widelcu opieczoną krówkę.

Brenna pokręciła głową, zlizując z palców rozpuszczoną czekoladę. Dylan poczuł się nagle tak, jakby usta wypełniła mu wata. A gdy jej różowy języczek wysunął się z ust, by zlizać z palca ziarenko sezamu, na czoło wystąpił mu pot.

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnęła się. – To była odpowiednia dawka czekolady. Wystarczy mi na jakiś czas.

– Dobrze, że znalazłem ten zapas, który Pete sobie zostawił na czarną godzinę – droczył się z nią Dylan, próbując się opanować. – Nie chciałbym patrzeć, jak cierpisz od czekoladowego głodu.

– Och, to nie byłoby przyjemne. Szkoda, że nie widziałeś mnie tego dnia, gdy malowałyśmy hydranty. Przez cały dzień nie zjadłam ani odrobiny czekolady i wieczorem trudno było ze mną wytrzymać.

Na wzmiankę o projekcie na Main Street Dylan aż się wzdrygnął. Najbardziej by się cieszył, gdyby już nigdy w życiu nie usłyszał słowa o T. U. M. i jego planach.

– Kiedy zabierzemy się do roboty...

Szybko ułamał kawałek czekolady i włożył go jej

do ust, dzięki czemu na chwilę zamilkła.

– Nie chcę rozmawiać o waszym klubie.

– Dlaczego? – Jej gardłowy śmiech wzbudził w nim nową falę pożądania. – Mamy takie miłe projekty na Boże Narodzenie...

– Raczej wolałbym się skoncentrować na tobie – przerwał jej. Przesunął palcem po jej aksamitnym policzku.

– Jesteś o wiele bardziej podniecająca.

Jej niebieskie oczy rozjarzyły się, ale zaraz spuściła wzrok, odłamała następny kawałek czekolady i włożyła do ust.

– Wiesz, co się mówi o czekoladzie?

Pokręciła głową.

– Badania naukowe wykazały, że jedzenie czekolady powoduje taką samą reakcję chemiczną w mózgu jak kochanie się – wyjaśnił, splatając palce z jej palcami.

– Chyba też o tym słyszałam – powiedziała ostrożnie.

Ta miękka skóra pod palcami i zduszony głos wyczyniały dziwne rzeczy z jego ciałem. Gdy spojrzała na niego przez rzęsy, w jego żyłach zapłonął ogień. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

Cienie rzucane przez lampę naftową, ogień w kominku, tworzyły bardzo intymny nastrój. Skąpana w miękkiej poświacie, Brenna była zjawiskowo piękna. Jeszcze nigdy w życiu nie pragnął niczego

tak jak jej.

– Chodź do mnie, skarbie...

– To chyba nie jest mądre – protestowała, gdy sadzał ją sobie na kolanach. Wiedziała, że powinna natychmiast wyrwać się z jego objęć, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Bo chciała czuć, jak ją obejmuje, czuć, że znów jest komuś bliska i godna pożądania.

– Pewnie nie – przyznał. Włożył jej kawałek czekolady do ust, a potem musnął jej wargi swoimi. – Ale, do diabła, nigdy nie odznaczałem się rozsądkiem.

Zamknęła oczy.

– Dylan?

Znów leciutko dotknął jej ust, zlizywał czekoladę z jej warg.

– Co?

– Proszę, pocałuj mnie. – Już jej nie wystarczało to, co robił.

Z jękiem przyciągnął ją jeszcze bliżej, ale nadal się z nią drażnił.

– Za chwilę, skarbie – szepnął. – Oczekiwanie wzmacnia późniejsze doznania.

Pokręciła głową i zarzuciła mu ręce na szyję, a palce wplotła w jego gęste, czarne włosy.

– Nie, to nieprawda. – Nagle zabrakło jej tchu. – Ja od tego zaraz oszaleję.

• Zaśmiał się i ten cichy, seksowny dźwięk wprowadził jej serce w szaleńcze bicie, a dreszcze, które

zbudziły się w dole brzucha, rozeszły się po całym ciele. Wiedziała, że igra z ogniem. Byli tu sami, nikt nie przyjdzie, by im przeszkodzić. Ale przestała się tym przejmować. Pragnęła, by Dylan ją całował. I nie tylko całował.

– Chcę, żebyś zapamiętała ten pocałunek na całe życie – wyszeptał w jej usta.

Już miała mu powiedzieć, że nigdy go nie zapomni, ale wsunął jej język w usta, obwiodł zęby, a potem wsunął go głębiej i Brenna straciła umiejętność myślenia o czymkolwiek prócz jego bliskości. Oboje na długą chwilę zapamiętali się w pocałunku.

Po jakimś czasie, nie mogąc już dłużej znieść tej słodkiej tortury, Dylan wstał i, ciągle trzymając Brennę w ramionach, skierował się do sypialni. Chciał kochać się z nią powoli, z czułością, tak jak powinna być kochana.

Odgarnął kołdrę, położył Brennę, sam położył się obok niej i znów ją całował, doznając przy tym uczuć, jakich nie chciał nawet sam przed sobą nazwać.

Gdy wreszcie oderwał się od jej ust, cały płonął. Nigdy jeszcze żadnej kobiety tak bardzo nie pożądał.

– Dylan, muszę ci o czymś powiedzieć – szepnęła, wtulając twarz w jego ramię.

– Co takiego, skarbie?

Oparł się na łokciu i patrzył na nią. Miał przed



oczami najpiękniejszą kobietę świata. Delikatnie sunął palcem w rowku między jej piersiami, i w dół. W nagrodę usłyszał ciche westchnienie, wyczuł, jak cała drży. Kontynuował więc tę wyprawę badawczą. Ale kiedy dotarł do loczków u zbiegu ud, Brenna zeszywniała.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – spytał, zatrzymując rękę tam, gdzie była.

Patrzyła na niego nieśmiało, zagryzła usta.

– Ja... ja nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Powiedziała to tak cicho, że nie był pewny, czy dobrze ją zrozumiał.

– Nigdy jeszcze nie byłaś z mężczyzną? – Skinęła głową. Spłoszone spojrzenie jej szczerych niebieskich oczu poruszyło go głęboko. – Nawet z tym łajdakiem, który cię oszukiwał, że się pobierzecie, gdy skończy studia?

– My... ja nigdy nie czułam się na to gotowa.

W Dylanie zamarło serce.

– A ze mną? Jesteś gotowa?

– Tak.

Zdecydowanie w jej głosie, szczerłość spojrzenia, wstrząsnęły nim. Brenna nie oddała się mężczyźnie, za którego chciała wyjść, bo nie uważała tego za właściwe. Ale była gotowa oddać się jemu.

To wyznanie powinno natychmiast go otrzeźwić. Powinien zerwać się i uciekać gdzie pieprz rośnie. Tymczasem świadomość, że jest gotowa kochać się z

nim, chociaż nigdy jeszcze nie oddała się żadnemu mężczyźnie, spowodowała, że serce Dylana nabrzmiało uczuciami, a ciało pulsowało z taką intensywnością, że aż zakręciło mu się w głowie. Niezdolny wyrazić głębi swoich uczuć słowami, przygarnął ją do siebie i całował tak namiętnie, jak nawet nie sądził, że potrafi.

Gdy ostatni spazm ustał i serce wróciło do normalnego rytmu, Dylan położył się obok Brenny i przytulił ją. Nic, co do tej pory przeżył, nie równało się z kochaniem się z kobietą, którą teraz trzymał w ramionach. Było tak, jakby już umarł i poszedł do nieba.

– Dobrze się czujesz, skarbie? – spytał, całując ją w czubek głowy.

– To była najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłam – szepnęła, przywierając do jego piersi.

– Nie sprawiłem ci bólu? – Nie sądził, by tak się stało, ale musiał się upewnić.

– Nie. – Odwróciła się w jego ramionach, by spojrzeć mu w oczy. – Dziękuję ci za to, że dzięki tobie mój pierwszy raz był tak cudowny.

Jej pierwszy raz. Świadomość, że czekała na niego, że to on jest jej pierwszym mężczyzną, przepełniła mu serce czułością i gorącym pragnieniem, by być również jedynym. Myśl o Brennie w ramionach innego na nowo rozpałała w nim żądzę.

Odwróci! ją na plecy i zaczął całować zamknięte oczy, czubek nosa i uparty podbródek.

– Brenno, pragnę cię...

Otworzyła oczy, uśmiechnęła się tak, że poczuł gorąco.

– Ja też cię pragnę.

– Na pewno? – Obawiał się, że to za wcześnie i tym razem może naprawdę sprawić jej ból.

Skinęła głową i objęła go.

– Nigdy jeszcze nie byłam niczego bardziej pewna.

Dylan, kochaj się ze mną.

## Rozdział 8

Następnego popołudnia Dylan uwolnił podjazd od blokującego go dębu i odwiózł Brennę do domu. Spodziewał się, że będzie tam na niego czekał jego stary samochód, ale tak się nie stało.

– Ciekawe, gdzie się podziewa Pete – mruknął.

– Tego nie wiem, ale wiem na pewno, że babcia jest z nim – roześmiała się Brenna.

Od jej słodkiego śmiechu, oczu rozjaśnionych po nocy miłości, jego ciało zareagowało w przewidywalny sposób. Do diabła!

Raz jeszcze ją pocałował i otworzył drzwi.

– Muszę podziękować twojej babci. Tak zajęła wujka Pete'a, że nie wrócił na noc do domu.

– To raczej ja powinnam podziękować Pete'owi, że odciągnął uwagę babci ode mnie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ona czasami potrafi być męcząca.

Biorąc ją za rękę, Dylan podszedł do drzwi.

– Chyba znów wyjechali – zauważył, wyciągając kawałek papieru z dziurki od klucza. Przeczytał notatkę i zmarszczył czoło. – Dobra rada, ale nie wiem, po co w ogóle się fatygowali, by to pisać.

– Pokaż. – Brenna wzięła kartkę i przeczytała na głos:

– „Klucz do prawdziwego szczęścia leży w Twoim sercu.

Pod pozorem braku zaufania stopniami schodzisz ku rozpacz". – Roześmiała się. – Babcia napisała, że klucz leży pod stopniami.

– Skąd wiesz? – zapytał ze zdziwieniem.

Brenna sięgnęła pod drewniany schodek i wyciągnęła komplet kluczy w małej foliowej torebce.

– Bawiłyśmy się z babcią w takie rzeczy, kiedy byłam mała – odparła, otwierając drzwi. – Trzeba czytać co czwarte słowo.

Wchodząc za nią do domu, Dylan przeczytał jeszcze raz notatkę: Klucz leży pod stopniami.

– Niech to lichy! Macie całkiem skuteczny szyfr!

– Dylan...

Brenna stała w drzwiach, blada jak płótno. Podbiegł do niej.

– Co się stało?

– Coś podobnego! – Drżącą ręką podała mu kolejną kartkę. – Wzięli twój pikap i pojechali do Las Vegas!

– Co zrobili? – Na pewno źle usłyszał. Przeczytał notatkę i pokręcił głową. Cieszył się, że jego wujek i Abigail znaleźli szczęście na stare lata, ale jak mogli wziąć jego cenny samochód? Cicho zaklął i zaraz przeprosił.

Brenna była chyba tak zaszokowana, że nie usłyszała brzydkiego słowa.

– Nie mogę w to uwierzyć! – wykrzyknęła. Podeszła do kanapy i bezsilnie na nią opadła. –

Babcia wychodzi za męża, a mnie tam z nią nie będzie!

– Ach, skarbie, nie martw się. Będiesz z nią. – Dylan podjął szybką decyzję. – Jedziemy za nimi.

– Naprawdę? – Aż cała się rozjaśniła.

– Tak. Ty zobaczysz, jak babcia bierze ślub, a ja odzyskam swój pikap.

– Dylan, przecież oni mają nad nami prawie cały dzień przewagi.

– Rzeczywiście – przyznał. – Ale jak znam wujka, na noc zatrzymają się w Albuquerque. Ma tam kumpla i założę się, że prześpią się u niego. – Dylan spojrział na zegarek. – Jeżeli wyjedziemy w ciągu godziny, dogonimy ich przed północą.

– Wczoraj zostawiłam mój samochód przed sklepem.

Możemy po niego iść – zaproponowała Brenna.

– I tak zrobimy. Nie mogę wziąć explorera na wyjazd w sprawach osobistych. – Dał Brennie szybkiego całusa i zaraz się odsunął. – Pakuj rzeczy, a ja zadzwonię do Jasona i powiem mu o naszych planach.

Gdy Brenna poszła do swojego pokoju, głęboko odetchnął i wystukał numer swojego biura. Nie był zadowolony, że Pete wziął jego pikapa. Samochód był jego dumą i radością, a poza tym jedną z nielicznych rzeczy, które zostały mu po ojcu.

Ale, z drugiej strony, był wujkowi naprawdę

wdzięczny. Przez swój wyjazd stworzył mu idealną okazję, by mógł spędzić więcej czasu z najbardziej czarującą kobietą, jaką kiedykolwiek poznał.

– Babciu, ciągle jeszcze nie rozumiem, dlaczego nie mogłaś wziąć ślubu w Tranquillity – powtórzyła Brenna, wychodząc z apartamentu dla nowożeńców.

Zmęczona po długiej podróży, ziewała, idąc korytarzem do windy. Zgodnie z przewidywaniami Dylana, dopadli zakochaną parę w Albuquerque. Rano wszyscy wstali wcześniej i kontynuowali podróż, a po południu, już w Las Vegas, wybrali się kupować stroje ślubne dla Abigail i Pete'a.

– Przyjechaliśmy tu, bo chcemy, żeby ceremonię poprowadził ktoś niezwykły – wyjaśniła Abigail, gdy wchodziły do windy. Jej oczy błyszczały. – Ślubu udzieli nam Król Rocka. Możesz sobie wyobrazić coś bardziej oryginalnego?

Zanim Brenna zdążyła przytaknąć, że to rzeczywiście będzie niezwykle, drzwi windy otworzyły się, a przed nimi stali Pete i Dylan. Jej puls przyspieszył szaleńczo i zabrakło jej tchu. Nie widziała go od czasu zakupów. Ona i babcia przebierały się na ślub w apartamencie nowożeńców, podczas gdy panowie robili to samo w pokoju wynajętym przez Dylana.

Brenna nerwowo wygładziła ciemnozieloną sukienkę, którą babcia kazała jej kupić. Dylan

wyglądał rewelacyjnie w granatowej westernowej marynarce, koszuli w przydymionym niebieskim kolorze i czarnych dżinsach.

– Prawdziwy elegant, prawda? – szepnęła babcia.

– Jasne – przyznała Brenna, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Wiesz, moglibyśmy urządzić podwójny ślub – zaproponowała Abigail.

– Babciu, nie zaczynaj od nowa – ostrzegła ją Brenna.

Ale na myśl o ślubie z Dylanem poczuła w sercu przyjemne ciepło.

– Czyż to nie dwie najpiękniejsze dziewczyny, jakie kiedykolwiek widziałeś? – zachwycił się Pete. Wsunął sobie rękę Abigail pod ramię. – Gotowa do ceremonii, cukierczku?

– Jasne, stary koźle! – wykrzyknęła Abigail z rozanielonym uśmiechem.

Dylan pełnym podziwu spojrzeniem przesunął po figurze Brenny, uniósł jej rękę do ust i musnął pocałunkiem wrażliwą skórę.

– Jesteś piękna, skarbie.

– Dziękuję – wyszeptała z nadzieją, że nie zauważył, jak bardzo brak jej tchu.

Chciała odwzajemnić komplement, ale Pete zawołał:

– Zamierzacie tak stać i gapić się na siebie, czy idziecie z nami?



– Prowadź, wujku – zarządził Dylan, przytulając Brennę.

Godzinę później wysiadali z limuzyny przed hotelem. Już było po ślubie, który odbył się w rekordowym tempie. Gdy tylko weszli do kaplicy, stojąca przed ołtarzem personifikacja Elvisa spytała nowożeńców, czy przysięgają „kochać się czule” przez resztę życia, i ogłosiła ich mężem i żoną.

– Chodźcie do naszego apartamentu na toast – zaprosiła wszystkich Abigail.

– Chcielibyśmy też omówić z wami kilka spraw, dzieci – dodał Pete.

– Dylan, jesteś drużbą, więc czyń honory domu – zaproponowała Brenna.

Patrząc na nią, Dylan poczuł war w dole brzucha. Wyglądała tak pięknie! O ile bardziej wolałby zabrać ją do ich pokoju, zsunąć z jej rozkosznego ciała tę zieloną sukienkę i kochać się z nią tak długo, aż oboje potrzebowaliby wskrzeszenia. A jeżeli dobrze rozumiał jej spojrzenie, ona też nie pragnęła niczego innego. Jednak musieli z tym jeszcze trochę poczekać.

W apartamencie, na stoliku obok otwartych drzwi balkonowych, czekało już wiaderko z chłodzącym się szampanem i wysmukłe kieliszki, a także czarka z truskawkami w czekoladowym kremie.

Dylan otworzył butelkę, rozlał szampan i wzniosł

toast. Stuknęli się kieliszkami, które melodyjnie zadźwięczały, i wszyscy wypili za szczęście młodej pary.

– A teraz, dzieci, zanim pójdziecie zająć się sobą, chcemy wam coś wyznać – powiedziała Abigail, bardzo z siebie zadowolona.

– Tak, i o coś poprosić – dodał Pete, biorąc nowo poślubioną żonę za rękę.

– A więc, o co chodzi? – ponaglił ich Dylan, trochę bojąc się tego, co usłyszy.

Pete i Abigail wymienili spojrzenia, a potem Abigail odchrząknęła.

– Wasze spotkanie nie było przypadkowe. To my je zaaranżowaliśmy.

– Wyście to zaaranżowali? – zdumiała się Brenna.

– Pete i ja poznaliśmy się kilka dni przed naszą przeprowadzką do Tranquillity – wyjaśniła Abigail. – A gdy zaczęliśmy sobie opowiadać o naszych rodzinach, od razu się zorientowaliśmy, że wy dwoje doskonale do siebie pasujecie. – Roześmiała się. – I od tamtego czasu robimy wszystko, co w naszej mocy, byście spędzali ze sobą jak najwięcej czasu. Zabraliśmy nawet pikapa Dylana zamiast twojego samochodu, bo Pete był pewny, że Dylan będzie nas gonił, a ty pojedziesz z nim.

– Jeszcze nigdy nie bywałem w kinie w Alpine tyle co w ostatnich tygodniach – roześmiał się Pete. – Ale przesiadywanie z Abigail w ciemnościach zadziało

jak najlepsza swatka.

– No i spotkała was kara za wtrącanie się w cudze życie – zauważyła dobrodusznie Brenna. – Możecie zatrzymać mój samochód na miesiąc miodowy, a ja wrócę z Dylanem. – Odwróciła się do niego. – Zgadzasz się?

Dylan skinął głową, patrząc, jak Brenna sięga po truskawki w czekoladzie. Gdy włożyła jedną do ust i zlizwała krem z palców, z ledwością się opanował, by głośno nie jęczeć.

– A jaką macie do nas prośbę? – spytał, zbierając siły.

Nigdy nie było wiadomo, co ta para jeszcze wymyśli.

– Ponieważ Boże Narodzenie jest już za dwa tygodnie, nie będziemy mieli czasu na znalezienie sobie domu – powiedział Pete, całując pomarszczoną dłoń Abigail. – Chcielibyśmy, żebyście wy zdecydowali, gdzie przez ten czas Abby i ja mamy mieszkać.

– Nie musicie decydować już teraz – dodała Abigail szybko. – Przemyślcie to w drodze do Tranquillity, i powiedzcie nam, gdy wrócimy z naszego miodowego miesiąca.

Dylan porozumiał się z Brenna spojrzeniem.

– Nie ma sprawy. Możecie zamieszkać albo z Brenna, albo ze mną. Jak wolicie.

– I zostańcie, jak długo będziecie chcieli – dodała

Brenna, sięgając po następną truskawkę w czekoladzie.

Gdy ją ugryzła, Dylan musiał odwrócić wzrok.

– Nie, decyzja należy do was. Wracamy w przyszłym tygodniu i wtedy powiecie nam, co postanowiliście. – Abigail uśmiechnęła się do Pete'a.

– Jak długo jesteśmy razem, nie obchodzi nas, gdzie mieszkamy.

– No, dziękuję wam, że przyjechaliście na nasz ślub! – wykrzyknął nagle Pete. – Ale powinniście już się zbierać. – Otoczył Abigail ramieniem. – Ja i Abby nie stajemy się z każdą chwilą młodszy, więc zamierzamy rozpocząć nasz miodowy miesiąc bez chwili zwłoki.

Brenna zaczerwieniła się jak piwonia, a Dylan patrząc, jak wkłada sobie do ust następną truskawkę, uściskał wujka i Abigail.

– Wszystkiego najlepszego. Cieszę się waszym szczęściem.

Wziął Brennę za rękę i wyprowadził ją z pokoju.

– Chodźmy zobaczyć, co nadają na kanale filmowym.

Gdy stali czekając na windę, przesunął po niej spojrzeniem. Wyglądała pięknie ze swoją alabastrową cerą, miedzianymi włosami, w tej zielonej sukience. Ale wiedział, że jeszcze piękniej będzie wyglądała, gdy ją z niej zdejmie.

Winda nadjechała pusta. Dylan natychmiast wziął

Brennę w ramiona.

– Chciałem cię pocałować od chwili, gdy cię zobaczyłem w holu hotelu – szepnął, muskając jej usta swoimi.

– Wiesz jaka jesteś piękna? I jak trudno mi było utrzymać ręce z daleka od ciebie?

Obdarzyła go takim uśmiechem, że ledwo się powstrzymał przed zderzeniem z niej sukienki.

– Pewnie tak samo trudno jak mnie. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak słodko wyglądasz w tych czarnych dżinsach i sportowej marynarce?

– Słodko? – Zachichotał. – Jestem tak samo słodki jak truskawki w czekoladowym kremie?

Skinęła głową.

– Wiesz, dlaczego tak się nimi zajadałam?

– Nie.

Jej uśmiech rozgrzał najgłębsze zakamarki jego duszy.

– Bo to druga w kolejności najlepsza rzecz po tobie.

W żyłach już mu płonął prawdziwy ogień.

– Skarbie, jeżeli natychmiast nie zamilkiesz, nie wiń mnie potem, że nie mogłaś obejrzeć filmu.

Objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie.

– Czy ja mówiłam, że chcę oglądać film? Wolę patrzeć na ciebie.

– Brenno, przestań, bo przyprawisz mnie o atak serca.

– Co mam przestać? – spytała niewinnie, gdy wysiedli z windy i szli do swojego pokoju.

– Dobrze wiesz – mruknął, szukając w kieszeni karty do drzwi.

– Nie chcesz, żebym ci mówiła, jaki jesteś seksowny? – szepnęła mu do ucha. – Tamtej nocy, u ciebie, twierdziłeś, że lubisz słuchać...

– Ale dopiero w naszym pokoju – przerwał jej, usiłując trafić kartą w szczelinę zamka.

– Mogę ci powiedzieć, jak bardzo...

Zasłonił jej usta ręką.

– Stworzyłem potwora – mruknął. Wreszcie udało mu się wsadzić kartę w zamek.

Zaczęła lizać jego rękę, a on niemal złamał kartę.

– Skarbie, umrę tu z pożądania, zanim uda mi się otworzyć te cholerne drzwi.

– Właśnie chciałam ci powiedzieć, co czułam, gdy...

Spojrzał na nią surowo.

Nie przejęła się tym.

– .. . byłeś ze mną na ślubie babci i Pete'a – dokończyła, mrużąc złośliwie oczy.

– Och, zapłacisz mi za to! – obiecał. – W końcu zwyciężył w walce z zanikiem. Wciągnął Brennę do środka, wziął w ramiona i kopniakiem zamknął drzwi. – Czy ty w ogóle wiesz, co takie słowa robią z mężczyzną?

– Nie. – Od jej uśmiechu omal nie padł na kolana.

– Może mi pokażesz?

Czas chyba stał w miejscu, gdy Dylan powoli wracał do przytomności po najbardziej wstrząsającym orgazmie, jakiego w życiu doznał. Nigdy jeszcze nie przeżywał tego tak intensywnie jak teraz, z Brenna.

– Dylan?

– Co, skarbie?

– Kocham cię – wyszeptała sennie.

Serce zaczęło mu skakać jak szalone, ale zanim zdążył coś odpowiedzieć, Brenna zasnęła.

Czy on ją dobrze usłyszał? Naprawdę go kocha?

Delikatnie zsunął się z niej i położył na boku, by widzieć jej twarz. Odgarnął pasmo jedwabistych włosów z aksamitnego policzka i patrzył, jak Brenna śpi. Od nowa ogarnęło go pożądanie.

Brenna go kocha.

Trzy tygodnie temu takie słowa przeraziłyby go na śmierć. Zabrałby nogi za pas i uciekał ile sił. Ale teraz?

We śnie przytuliła się do niego i Dylan objął ją, robiąc z ramion kołyskę. Obudził się w nim instynkt obronny, którego nigdy przedtem nie doznawał.

Wziął jeden głęboki oddech, potem drugi.

Pięć lat temu zrobił z siebie idiotę, a potem ze strachu, by coś takiego więcej się nie powtórzyło, unikał bliższych związków z innymi kobietami. Ale

Brenna nie była po prostu inną kobietą. Powoli przeradzała się w jego obsesję, stawała mu się niezbędna jak powietrze.

Spojrzał na nią. Tak bardzo zaszła mu za skórę, a on nawet nie wiedział, jak i kiedy. Ale jeżeli ta czułość, jaką w nim wzbudza, ma o czymś świadczyć, będą ze sobą jeszcze przez długi czas.



## Rozdział 9

Cztery dni po powrocie z Las Vegas Brenna uczestniczyła w zebraniu komitetu pań. Ale myślami była daleko od Towarzystwa Upiększania, drugiego etapu projektu czy narzekań kobiet na mężów, którym bardzo nie podobały się hydranty przemalowane na świętych Mikołajów. Ostatnio potrafiła myśleć tylko o Dylanie i kierunku, jaki przyjmowała ich znajomość.

Gdy w Las Vegas się kochali, niechęć powiedziała mu, że go kocha. Nie chciała, by wiedział, co czuje, ale słowa te jej się wyrwały i już nie było odwrotu.

Tymczasem Dylan zachował milczenie, a potem też żadne z nich już do tej sprawy nie wracało, chociaż spędzali ze sobą każdą wolną chwilę dnia, a nocami kochali się w jego domu. I to ją niepokoiło. Bardzo niepokoiło.

Gdy była z Tomem, to on powiedział pierwszy o swoich uczuciach. Tylko że potem wyszło na jaw, jakim jest manipulatorem i egoistą, a ona w bolesny sposób przekonała się, że jego uczucia są tak płytkie jak on sam.

Ale Dylan był inny. Nie zamierzał realizować swoich dalekosiężnych planów jej kosztem. Miał

pewną pracę i niczego od niej nie potrzebował. Westchnęła. Niestety, teraz już wiedział o jej uczuciach, podczas gdy ona nie miała pojęcia, co on czuje do niej.

– Brenna, moja droga, czy ty mnie słyszysz? – spytała Cornelia, przerywając tę introspekcję.

– Przepraszam. – Brenna usiadła prosto. – Co pani mówiła? Że niektórzy mężczyźni skarżą się na wygląd hydrantów?

Emily Taylor skinęła głową.

– Gdy powiedziałam mojemu Edowi, że zamierzamy je malować na każde święta, mało się nie udławił kolacją.

Nie mogę zrozumieć, co ich tak drażni. Przecież to po prostu pomalowane hydranty.

– Mówiłyście już swoim mężom, co zamierzamy zrobić na jasełka? – spytała Brenna, czując, jak ze zdenerwowania zaczyna ją boleć głowa. Zdecydowanie nie chciała kontynuować projektu, jeżeli mężczyźni sprzeciwiali się dalszym zmianom.

– Nie – odparła ponuro Helen Washburn. – Od kiedy Luke powiedział mi, że jeśli się nudzę, mam rzucić pędzle i kupić sobie psa, nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

Teraz próbuje wkupić się z powrotem w moje łaski.

Wyobraźcie sobie – parsknęła – że przyniósł mi bombonierkę. Ale nie przeprosił.

– Ed zrobił to samo – poinformowała Emily.

– Myron też – dodała Cornelia.

Brenna potarła bolące skronie.

– Jeżeli to ma sprawić tyle kłopotów, może jednak powinniśmy zrezygnować?

– W żadnym wypadku – oburzyła się Cornelia. Wstała, chwilę pochodziła nerwowo po sali, a potem zatrzymała się i wsparła ręce na szerokich biodrach. – Mężczyźni w tym mieście już dość długo rządzą po swojemu. Czas, byśmy położyły temu kres.

– Jako obywatelki Tranquillity mamy takie same prawa jak oni – poparła ją Emily.

– Racja – przytaknęła Helen. – Moja rodzina mieszka tu o wiele dłużej niż rodzina Luke'a.

Brenna słuchała tego z rosnącym niepokojem. Wyglądało to tak, jakby kobiety zamierzały przejąć władzę w mieście, a nie tylko udekorować Main Street na Boże Narodzenie.

– Niech sobie mężczyźni myślą, co im się żywnie podoba – zdecydowała Cornelia, waląc ręką w stół. – My trzymamy się naszego planu.

– Moje panie, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – wtrąciła się Brenna z nadzieją, że zażegna bunt. – Jeżeli mężczyźni nie życzą sobie, byśmy wymalowały nowe tablice z nazwami ulic i na tydzień przechrzciły Main Street na Ścieżkę Reniferów...

– Nie przejmuj się mężczyznami – przerwała jej

Cornelia ze śmiechem. – Nie dowiedzą się o niczym, póki rzecz nie zostanie załatwiona. Jutro jest sobota, więc mamy dwa dni, by nad nimi popracować. A w poniedziałek najpierw spotkamy się tu rano, zamkniemy drzwi na klucz i wymalujemy nowe tablice, a potem podzielimy się na zespoły tak, by tablice zawisły jednocześnie. Zanim mężczyźni się zorientują, wszystko będzie już zrobione.

– Dobry pomysł – powiedziała z zadowoleniem Helen.

– Cornelio, jesteś genialna! – Emily z podniecenia aż zaklaskała.

Jednak Brenna wcale nie była tego taka pewna. Jeżeli mężczyźni protestowali z tak błahej przyczyny jak pomalowanie kilku hydrantów, co powiedzą, gdy kobiety zawieszą tablice z reniferami i zakryją nimi stare tablice? – myślała z niepokojem.

– Ale czy nie musimy mieć pozwolenia od rady miejskiej? – spytała, mając nadzieję, że rozsądek przeważy.

– Ja nie będę o to prosiła – zachnęła się Cornelia i złośliwie się uśmiechnęła. – Jeżeli Myronowi nie będzie się podobało, mam taką specjalną kanapę, którą on uważa za narzędzie tortur. Gdy spędzi tam noc czy dwie, szybko przestanie na nas pomstować.

– Skarbie, co się stało? – spytał Dylan. Ubierali razem choinkę ustawioną przy oknie w bawialni.

Brenna przez cały wieczór dziwnie milczała, zupełnie jakby coś ją martwiło.

Cieężko westchnęła, a jemu aż ścisnęło się serce.

– Byłam na spotkaniu Towarzystwa Upiększania.

Na wzmiankę o T. U. M. Dylanowi ciarki przebiegły po grzbiecie. Gdyby wiedział, że Brenna martwi się właśnie z tego powodu, trzymałby buzię na kłódkę. Im mniej wie o ich zwariowanych planach, tym lepiej. Dzięki temu gdy Myron znów go spyta, czy Brenna coś powiedziała o drugiej fazie projektu, z czystym sumieniem będzie mógł zaprzeczyć.

– Wiesz, czemu niektórych mężczyzn tak denerwują nasze plany? – spytała, wieszając na gałązkach ozdoby » kształcie miniaturowego lasa.

– Dlaczego myślisz, że ich to denerwuje? – odpowiedział pytaniem. Właśnie mocował złotą gwiazdę na czubku choinki.

Odwróciła się do niego. Na widok jej zmartwionej miny zadrżało mu serce.

– Członkinie komitetu mówiły, że ich mężowie uważają pomysł malowania hydrantów na każde święta za nonsensowny.

Co mógł na to odpowiedzieć? On sam też tak uważał.

– Większość mężczyzn w Tranquillity żyje tu od urodzenia, a przed nimi żyli tu ich przodkowie – powiedział, ostrożnie dobierając słowa. – Podoba im

się to miasto takie, jakie jest, i nie widzą żadnego powodu, by coś zmieniać.

Brenna chwilę nad tym pomyślała.

– Kobiety nie chcą zmieniać miasta – odparła w końcu. – Chcą je tylko trochę przy różnych świątecznych okazjach ożywić dekoracjami. Na przykład teraz pomalowałyśmy hydranty, a jeszcze chcemy...

Dylan przyciągnął ją do siebie, zanim zdążyła powiedzieć coś, czego za nic nie chciał usłyszeć.

– Nie martw się, skarbie. I bez tego wszyscy będą się doskonale bawili na jasełkach, tak jak zawsze, od lat.

– Ale...

Zaczął ją całować, co definitywnie położyło kres rozmowie. Brennie pierzchły z głowy wszelkie sprawy związane z hydrantami, Towarzystwem Upiększania czy czymkolwiek innym. Gdy po dłuższym czasie uniósł głowę, nie wykrył już na jej twarzy najmniejszego nawet śladu zmartwienia.

Odstąpił o krok i wziął głęboki oddech, by trochę ochłonać po tym pocałunku. Im szybciej skończą ubierać choinkę, tym szybciej będzie mógł zrobić to, czego najbardziej chciał. A chciał zanieść Brennę do łóżka i tam kochać się z nią aż do rana.

– Miałaś wiadomości od naszych nowożeńców? – spytał, rozwieszając łańcuch czerwonych papryczek.

Uśmiechnął się. Wyglądało na to, że Brenna jako

główny temat ozdób choinkowych wybrała rzeczy związane z jej nową ojczyzną, południowo-zachodnim Teksasem.

– Babcia dzwoniła po południu. Spędzą noc w Albuquerque, a jutro ruszą do domu.

– Myślałaś, gdzie mają zamieszkać?

– Właściwie nie. I żałuję, że to nas obarczyli brzemieniem wyboru.

– Moglibyśmy ich gościć na zmianę. – Wzruszył ramionami. – Jeden tydzień tu, drugi u mnie.

– To by miało sens – zgodziła się Brenna.

W niedzielę po południu Dylan siedział w gabinecie i rozmawiał z burmistrzem i rajcami. Wszyscy byli w fatalnym humorze.

– Myron, to ty wydałeś Towarzystwu Upiększania pozwolenie na te najnowsze zmiany? – spytał ze znużeniem.

– Do diabła, nie! – Myron zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo przemierzać pokój. – Dowiedziałem się o tym dopiero wtedy, gdy Luke zadzwonił i powiedział, żebym spojrzał przez okno na tabliczkę z nazwą ulicy.

– Kto słyszał, by w południowo-zachodnim Teksasie nazywać ulicę Ścieżką Reniferów? – pinił się Luke. – Cholera, oprócz zoo w El Paso czy Dallas najbliższe renifery żyją cztery tysiące kilometrów stąd.

– A kobiety zamierzają robić coś takiego na każde

święta – parsknął Ed. Twarz mu poczerwieniała, na szyi wystąpiły żyły. – Emily mówiła, że na Wielkanoc chcą pomalować hydranty w zajaczki, na dzień Świętego Patryka w krasnoludki, a na walentynki w amorki. – Ciekawe, co jeszcze wymyślą – westchnął Luke.

Doprowadzony do ostateczności Myron zerwał z głowy kapelusz i przejechał ręką po łysinie.

– Znając Cornelie i jej bandę, boję się, że w końcu przechrzczą Main Street na jakąś Króliczą Ścieżkę czy Alejkę Krasnoludków.

Twarz Eda przybrała kolor szkarłatu.

– Uch, niech to szlag! A na walentynki pewnie zainstalują nad ulicą baldachim i nazwą ją Tunelem Miłości!

Dylan słuchał tego wszystkiego, trąc czoło. Jego zdaniem już hydranty wymalowane w święte Mikołaje były paskudne, ale to jeszcze nic w porównaniu z drewnianymi reniferami. Te cholerne zwierzaki szczerzyły się w najgłupszym uśmiechu, jaki w życiu widział. Aż strach brał na myśl, jak będą wyglądały zajaczki, krasnoludki czy kupidynki.

– Więc kto im na to pozwolił, jeśli nie ty? – spytał Myrona.

– To właśnie jest najgorsze – powiedział Ed. – Zrobiły to, ot tak, nie pytając żadnego z nas o zgodę. – Pokręcił głową. – Nigdy jeszcze tak się nie zachowywały.



– Dylan, wiesz, to głównie twoja wina – stwierdził Myron, siadając z powrotem.

– Moja?! – wykrzyknął Dylan z oburzeniem.

Ed skinął głową.

– Mówiliśmy ci, żebyś spędzał jak najwięcej czasu z tą dziewczyną Montgomerych i spróbował się dowiedzieć, co T. U. M. planuje.

– Taaa – poparł go Luke. – Miałeś nas informować o ich zamiarach, żebyśmy w porę zdążyli je ukrócić.

– Zabierz dziś dziewczynę do Alpine, do kina – poradził Myron. – A gdy będziecie siedzieli przytuleni w ciemnościach, wyciągnij z niej informacje, czy planują coś jeszcze.

– To dobry pomysł – mruknął Ed, krzyżując ręce na piersi. – I jeżeli zależy ci na pracy, dopilnuj, by nie wymalowały kupidynka albo krasnoludka z moją twarzą.

Nagle od drzwi rozległ się taki odgłos, jakby ktoś gwałtownie wciągał powietrze. Dylan spojrział w tamtą stronę i serce mu zamarło. Na progu stała Brenna, twarz miała białą jak płótno.

– Ja... przepraszam. Drzwi były otwarte i... – Zaczerpnęła tchu. – Muszę już iść.

Spojrzała na Dylana. Na widok rozpaczliwej malującej się na jej pięknej twarzy poczuł się jak ostatni łajdak. Zerwał się, by pobiec za nią.

– Brenna!

Ale ona tylko okręciła się na pięcie i już jej nie

było.

Brenna biegła do domu, serce waliło jej jak oszalałe, łzy przesłaniały wzrok, ale nie zatrzymała się, by je wytrzeć.

Dylan spotykał się z nią tylko dlatego, że kazano mu wykryć plany T. U. M. co do Main Street i powiadomić o nich radę miejską.

Ból jak od ciosu nożem przeorał jej serce. W końcu musiała się zatrzymać. Nic dziwnego, że nie wyznał jej miłości. Przecież jej nie kocha. Widywał się z nią tylko po to, by nie stracić stanowiska szeryfa. Z jej piersi wyrwał się szloch. Dylan ją wykorzystał tak samo jak Tom.

Ruszyła dalej, do domu. Ale zdążyła przejść tylko kilka kroków, gdy dwie silne ręce przytrzymały ją za ramiona.

– Skarbie...

– Nie mów tak do mnie – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. Odwróciła się i niemal zazgrzytała zębami, opanowując emocje, które nią szarpały. – Już nigdy tak do mnie nie mów.

– Chcę ci wyjaśnić...

– Szeryfie, nie musisz się tłumaczyć. Ty tylko wykonywałeś rozkazy. – Wyrwała się i ruszyła w swoją stronę.

– Do diabła, Brenna, bądź rozsądna! – krzyknął, doganiając ją.

– Odejdź.

– Nie. Najpierw mnie wysłuchasz.

– Po co? Twoje słowa niczego nie zmieniają. – Z całych sił się opanowała, by nie zacząć przy nim płakać.

Upust łzom da dopiero w domu. Dylan nie może się dowiedzieć, jak bardzo ją zranił.

Dopadła drzwi i już je otwierała, ale Dylan przycisnął obie ręce na płask do desek. Próbowwała go odepchnąć. Nie dała rady. Stał jak skała.

– Do licha, Brenna, wysłuchasz mnie! – warknął po części ze złością, po części z rozpaczą.

– Nie.

– Tak. – Mocno chwycił ją za ramiona.

Ku jej wściekłości w oczach zaczęły jej się zbierać łzy. Zamrugnęła, by je powstrzymać.

– O czym chcesz mówić? Liczysz, że oczyścisz swoje sumienie? Myślisz, że wtedy poczujesz się lepiej po tym, co zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem.

– Och, doprawdy? Nie wykonywałeś rozkazów? Nie spędziłeś ze mną ostatniego miesiąca tylko po to, by dowiedzieć się czegoś o projekcie dla Main Street, żeby mężczyźni mogli go zastopować?

– To nie tak. – Pokręcił głową. – Rzeczywiście kazali mi wykryć, co planujecie, ale czy pamiętasz, że nigdy cię o to nie pytałem?

– I dlatego wydaje ci się, że jesteś w porządku? –

spytała ze zdumieniem. – Całowałaś się ze mną, bo tak ci rozkazano. – Głos jej zadrżał, ale kontynuowała. – Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ja się teraz czuję? Jak mnie boli to, że oddałam się mężczyźnie, który świadomie się mną posłużył, żeby zachować swoją pracę?

– Brenna, przestań! – rozzłościł się Dylan. – To, co jest między nami, jest prawdziwe i nie ma nic wspólnego z poleceniami rady miejskiej. Byłem z tobą, bo tego pragnąłem. Bo mi na tobie zależy.

– Chciałabym ci wierzyć – szepnęła z rozdartym sercem. – Ale nie mogę.

– To prawda – upierał się. – A jeżeli się zastanowisz, przypomnisz sobie, że za każdym razem, gdy zaczynałaś mówić o projekcie, zmieniałem temat.

Pokręciła głową.

– To nie ma znaczenia. Pozwoliłeś tym mężczyznom myśleć, że jesteś ze mną na ich rozkaz, a nie dlatego, że ci na mnie zależy. Wykorzystałeś mnie tak samo jak Tom.

– Nieprawda. To, co dzieje się między nami, nie ma nic wspólnego z radą miejską. – Wziął głęboki oddech.

– Pięć lat temu zacząłem widywać się z kobietą, która skorzystała z tego, że mi się podobała, by zmienić Tranquillity w luksusowy kurort dla ludzi, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu.

Ośmieszyła mnie przed całym miastem. Uwierz mi, że nigdy nie kazałbym ci przechodzić przez takie samo piekło.

– Ale właśnie to zrobiłeś – powiedziała Brenna, wyswobodzając się z jego uchwytu. Cała drżała od burzy uczuć. – Przykro mi, że odkryłam twój plan przedwcześnie. Może członkowie rady wezmą to pod uwagę, gdy przyjdzie czas na sporządzenie okresowej opinii na twój temat.

– Skarbie...

– Proszę cię! – przerwała mu i otworzyła drzwi. – Nie ma już o czym mówić. – Brenna z trudem powstrzymywała łzy. – Babcia i Pete powinni być tu dziś wieczorem. Kiedy przyjadą, powiem Pete'owi, żeby do ciebie zadzwonił.

– Brenna, to jeszcze nie koniec.

– Owszem, koniec. – Musiała kazać mu odejść, zanim się rozplacze. – Zegnaj, Dylan.

Z sercem w strzępach weszła do domu, zamknęła drzwi i na chwilę bezsilnie oparła się o nie plecami. Potem, niepoohamowanie drżąc, poszła do bawialni i opadła na kanapę. W końcu usłyszała kroki Dy lana. Odchodził od niej. Resztki opanowania prysnęły. Zaniósł się rozpaczliwym łkaniem.

Dylan powoli szedł do centrum miasta. Czy jest winny tego, o co oskarża go Brenna? Czy starając się zachować prywatny charakter ich związku, zniszczył

to, co zaczynało ich łączyć? Czy zawiódł jej zaufanie, nie mówiąc Myronowi i reszcie rajców, że widuje się z nią dlatego, że tego chce, a nie na ich rozkaz?

Od wypadków sprzed pięciu lat bardzo się starał oddzielać życie prywatne od zawodowego. I aż do ostatniego miesiąca to mu się udawało.

Ale tak było tylko do chwili, gdy wszyscy bez wyjątku zaczęli mieszać się w życie Brenny i jego. Jako pierwsi zabrali się do tego wujek Pete i jej babcia, zabawiając się w swatów. Potem dołączyła żona burmistrza z przyjaciółkami, postanawiając wprowadzić w mieście trochę zmian, a w końcu rajcy, gdy rozkazali mu wyciągnąć od Brenny informacje, które by im pozwoliły powstrzymać żony od działania.

A przecież, mimo całego tego wtrącania się, jemu i Brennie udało się w sobie nawzajem zakochać.

Dylan zatrzymał się w pół kroku. Wziął głęboki oddech, potem jeszcze jeden. Wiedział, że Brenna zaszła mu za skórę. Ale kiedy się w niej zakochał?

Pokręcił głową i ruszył dalej. Nieważne, kiedy oddał Brennie serce. Po prostu tak się stało. I niech go powieszą, jeśli pozwoli ludziom kierującym się nawet najlepszymi intencjami zniszczyć to, co było między nimi.

Uśmiechnął się. Dotyczyło to także samej Brenny.

## Rozdział 10

W Wigilię Brenna siedziała, wpatrując się w wielką czarę z rumowymi czekoladkami, którą postawiła przed nią babcia. Po raz pierwszy w życiu nie kusił jej smak czekolady.

– Zaczynaj się już ubierać na jasełka, bo się spóźnisz – zwróciła jej uwagę Abigail, poprawiając czapkę świętego Mikołaja.

– Nie idę – oświadczyła Brenna.

– Brenna, musisz iść – przekonywał ją Pete. – Bo inaczej kto poczyta dzieciom „Opowieść wigilijną”?

– Każdy może im poczytać. I tak będą słuchać.

– Ale to ty jesteś Bajarką – argumentował Pete. Brenna zobaczyła, jak wymienia spojrzenie z Abigail.  
– Idę do bawialni, żeby... żeby... – Zamilkł na chwilę, a potem głupawo się uśmiechnął. – Uch, do licha! Znajdę sobie tam coś do roboty.

Pocałował Abigail w policzek i uciekł.

– Możesz sobie oszczędzić przemówień – uprzedziła babcię Brenna, widząc, że szykuje się do wygłoszenia całej listy argumentów. – Nie idę.

Abigail wskazała jej krzesło przy stole, a potem sama usiadła naprzeciwko niej.

– Brenna, dopóki zamierzasz mieszkać w Tranquillity, to nieuniknione, że od czasu do czasu będziesz wpadała na Dylana.

Cała babcia. Zawsze trafi w sedno.

– To po prostu... za wcześnie.

– Kochanie, wiem, że cierpisz – powiedziała Abigail serdecznie, biorąc rękę Brenny w swoje ręce.

– Ale musisz się pogodzić z tym, że będziesz go widywała. A im dłużej to odwlekasz, tym będzie ci potem trudniej.

Brenna poczuła wilgoć pod powiekami. Zamrugła. Już dość się napłakała. Łzami, które przelała w zeszłym tygodniu, można by napełnić koryto sporej rzeczki.

– Może się stąd wyprowadzę.

Abigail zakłęła pod nosem.

– Nie tak cię wychowałam. Chcesz uciekać przed kłopotami?

– Nie uciekam – broniła się Brenna. – Po prostu staram się jakoś to przeżyć.

– Więc wyjdź im na spotkanie, uporaj się z nimi, a potem ruszaj do przodu – powiedziała twardo Abigail. – Udowodnij temu miastu, że masz charakter.

Brenna wzruszyła ramionami.

– To samo mówiła Cornelia, kiedy rano wpadła do mnie do sklepu, żeby mi powiedzieć jak jej przykro z powodu tego, co jej mąż i inni rajcy próbowali zrobić.

– Znów cię przeproszała?

– Och, nie ma dnia, żeby któraś się nie kajała. –



Brenna pokręciła głową. – Że też coś tak niewinnego jak malowanie hydrantów przeciwpożarowych i udekorowanie tabliczek z nazwami ulic mogło spowodować tyle kłopotów!

Jak mogło do tego dojść?

– Nie wiem. Wczoraj po południu Luke mówił Pete'owi, że mężczyźni co wieczór przychodzą do niego na kolację. – Widząc zdziwione spojrzenie Brenny, Abigail się roześmiała. – Pewnie Cornelia, Emily i Helen przestały gotować, by wyrównać z mężczyznami rachunki. A Myron Worthington łązi po mieście i każdemu, kto chce go słuchać, opowiada o kanapie z wystającymi sprężynami.

– Ta walka o władzę między kobietami i mężczyznami staje się coraz bardziej zawzięta – mruknęła Brenna ze złością.

– Owszem. – Abigail uśmiechnęła się złośliwie. – Już nie mogę się doczekać wieczoru. Ciekawe, czym się skończy.

– Babciu!

– Nie ma nic lepszego niż porządna kłótnia, by ożywić towarzyskie spotkanie – oznajmiła Abigail, wstając. – A teraz idź się przygotować, bo inaczej stracimy całą zabawę. No i szkoda byłoby tego twojego elfiego kostiumu, gdybyś nie poszła.

– Mnie na tym nie zależy – westchnęła Brenna, z niechęcią podnosząc się z krzesła. – Poczekacie na mnie? Nie chcę tam wchodzić sama.

– Pewnie. – Abigail tak energicznie pokiwała głową, że spod czapki świętego Mikołaja wysunęły się jej pomarańczowe loki.

Brenna tylko kręciła głową. Powinna była wiedzieć, że babcia tak łatwo jej nie odpuści.

Ubierając się w kostium elfa: obcisły trykot, króciutką spódniczkę i zielone buty do kolan, wszystko z obszyciem z białego futerka, myślała tylko o jednym. Na uroczystości będzie Dylan.

Przygryzła wargę, by przestała drżeć, i zawiązała wielkie czerwone kokardy u góry botków. W zeszłym tygodniu wiele myślała o tym, co jej powiedział po spotkaniu w jego biurze.

To prawda, nigdy jej nie pytał o projekt Main Street. Właściwie nawet unikał rozmów na ten temat, chyba że ona sama zaczynała o tym mówić. A teraz, przeżywając od nowa każdą spędzoną razem chwilę, musiała przyznać, że nigdy jej nie pozwolił powiedzieć, co kobiety planują. Albo szybko zmieniał temat, albo natychmiast zaczynał ją całować.

Miała cały tydzień na zastanawianie się i w końcu zrozumiała, w jak niewygodnym położeniu wobec rady miejskiej się znalazł. Utknął w samym środku tego zamieszania i musiał balansować na cienkiej linii, żeby wszystkich zadowolić. Położenie było naprawdę trudne, a jednak robił, co mógł, żeby jakoś sobie poradzić.

Z jednej strony usiłował uspokoić burmistrza i członków rady, by zachować pracę, którą uwielbiał. A z drugiej strony wykrecał się od spełnienia rozkazów rady, bo ze wszystkich sił usiłował postępować tak, by nie zdradzić jej zaufania.

Brenna zrozumiała nawet, dlaczego znajomość z nią trzymał w tajemnicy przed rajcami. Po tym, jak pięć lat temu został publicznie upokorzony, nie mogła mu mieć za złe, że nie ma ochoty rozgłaszać informacji o swoim prywatnym życiu.

Ale całe to zrozumienie przyszło za późno. Od tygodnia Dylan się z nią nie kontaktował. A to świadczyło wystarczająco wymownie o jego niechęci, by dać ich związkowi jeszcze jedną szansę.

Łza spłynęła jej po policzku. Wytarła ją niecierpliwie grzbietem dłoni. Teraz musi iść na jasełka, ale nie zostanie tam długo. Przeczyta dzieciom opowieść, pomoże świętemu Mikołajowi rozdać prezenty, a potem wyjdzie.

Dylan, niepomny panującego w świetlicy gwaru, niecierpliwie wpatrywał się w drzwi. Gdy w końcu zobaczył Brennę, która weszła za Pete'em i Abigail, przeszła go błyskawica pożądania. Mało brakowało, a zgniótłby w rękę czarękę z ponczem. Brenna wyglądała ślicznie w kostiumie elfa, zielonym, z przybraniem z białego futerka. Cholernie ślicznie. Zresztą, jeśli o niego chodzi, wyglądała dobrze we

wszystkim, a jeszcze lepiej bez niczego.

Spódniczka sięgała połowy ud, a biała kryza wokół szyi ocierała się o aksamitną skórę, której sam tak bardzo chciałby dotknąć. Cały się naprężył. Pragnął tylko jednego: zarzucić ją sobie na ramię, znaleźć jakieś odosobnione miejsce i kochać się z nią tak długo, aż wreszcie nabierze rozumu.

W ostatniej chwili powstrzymał głośny jęk żądz. Postanowił dać jej trochę czasu, zanim jeszcze raz spróbuje z nią porozmawiać. Ale czy uda mu się przetrzymać ten wieczór bez tego, by wziąć ją w ramiona i kochać się do utraty tchu?

– Co słysząc, chłopcze? – odezwał się Pete, podchodząc do niego.

– Jak zwykle. A u ciebie?

– Doskonale. – Stali przez chwilę w milczeniu, aż w końcu Pete się zniescierpliwiał. – Do licha, czemu po prostu nie spytasz?

Dylan udawał obojętność. Przyglądał się, jak stara Corny i jej kwoki otaczają Brennę i prowadzą do swojego stolika.

– No, chłopcze – kontynuował Pete. – Obaj wiemy, że umierasz z tęsknoty za Brenna. Przestań więc udawać i spytaj mnie.

Nie mogąc oderwać od niej oczu, Dylan wzruszył ramionami.

– Więc dlaczego mi tego po prostu nie powiesz i nie oszczędzisz nam obu czasu?

– Dobrze, powiem – odparł Pete poirytowanym tonem.

– W życiu nie widziałem tak nieszczęśliwej kobiety jak ona teraz. Abby ledwo ją zmusiła do przyjścia tutaj.

Dylan wiedział, że to on jest powodem tej rozpaczki.

– Nie chciała przyjść?

– Waśnie. – Pete zakolysał się na obcasach. – A jeśli ktoś by mnie zapytał, wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby uciekła, gdy tylko przeczyta dzieciom opowieść i pomoże rozdać prezenty.

– Wygląda na to, że walka nadal jest zażarta – zauważyła Abigail, stając obok nich. – Kobiety zgrupowały się po jednej stronie sali, mężczyźni po drugiej. W ten sposób linia frontu została wytyczona.

Dylan słyszał z bezpośredniego źródła o kłopotach, jakie trapiły Myrona, Eda i Luke'a, gdy ich żony dowiedziały się o ich spisku w sprawie planu dla Main Street. Myron od tygodnia jęczał, że musi spać na kanapie z wystającymi sprężynami. Wreszcie miał tego tak dosyć, że niemal chciał mu kupić nową. A teraz, ponieważ uważnie obserwował drzwi, widział, jak Ed i Luke przychodzą wprawdzie z żonami, ale zaraz po wejściu na salę małżeństwa się rozdzielają. Kobiety poszły w jedną stronę, mężczyźni w drugą.

– Pete, idź przynieś krzesła i ustaw je przy stole z ponczem – powiedziała Abigail podnieconym

głosem. – Chyba szykuje się niezła awantura, więc chcę mieć dobry widok.

Gdy Pete i Abigail spieszyli do krzeseł, Dylan przygląda! się kobietom stojącym przy stole z napojami. Rozmawiały z ożywieniem, gwałtownie gestykułując i od czasu do czasu wygrażając palcami swoim mężom. Ci wreszcie ruszyli do nich. Miny mieli ponure, kręcili głowami, dając do zrozumienia, że się z nimi nie zgadzają. A pośrodku tego wszystkiego stała Brenna, głowa jej się obracała z jednej strony na drugą, podczas gdy kłótnia przybierała na sile. Dylanowi wydawało się, że Brenna zaraz się rozpłacze.

– Tego już za wiele – mruknął. Z hukiem odstawił czarękę i poszedł do kobiety, którą kochał.

Tłum wokół stołu z napojami stawał się coraz gęstszy. Chyba każdy miał swoje zdanie na temat hydrantów i tabliczek z nazwami ulic.

– Lubię zmiany – mówiła jakaś kobieta stojąca na obrzeżu tłumu. – I jestem bardzo ciekawa, co Towarzystwo Upiększania zaplanuje na kolejne święta.

– Jak, na litość boską, możesz tak mówić? – rozległ się zde gustowany męski głos. – To najgłupsze rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Proszę, nie kłóćcie się. – Brenna usiłowała powstrzymać narastającą awanturę. Ale jej głos nie

przebił się przez coraz głośniejszy harmider.

– To wszystko jej wina – nad szum wzniósł się inny męski głos. – Gdyby nie namówiła naszych kobiet, nic z tego by się nie wydarzyło.

– Ej ty tam, zamknij się!

Słyszając grzmiący baryton Dylana, Brenna podniosła wzrok. Dylan torował sobie łokciami drogę do niej.

Zobaczyła go od razu po wejściu do świetlicy. Stał sam po drugiej stronie sali. Miał na sobie niebieską sportową marynarkę i czarne dżinsy, które nosił już na ślubie Pete'a.

Wydał jej się taki przystojny, że musiała odwrócić wzrok. Tak bardzo go kochała, a nie było żadnej szansy, by sprawy między nimi się naprawiły.

Podszedł do niej i leciutko się skłonił. Serce jej stanęło, a potem ruszyło galopem. Co on chce zrobić?

*Dylan zwrócił się twarzą do tłumu.*

– To nie Brenna Montgomery, ucząc malarstwa albo spełniając prośby o pomoc, zaczęła tę wojnę. – Spojrzał na nią i determinacja w jego zielonych oczach odebrała jej możliwość oddychania. Przybył jej na ratunek. – Ona chciała jedynie, by Tranquillity stało się jej domem. Chciała się stać jedną z nas. – Kciukiem poprawił rondo kapelusza, wsparł ręce na biodrach i surowo popatrzył na tłum.

– Chociaż biorąc po uwagę to, jak dziś się

zachowujecie, nie mogę zrozumieć, czemu w ogóle się o to starała.

Brenna patrzyła ze zdumieniem, jak rozpina marynarkę i odpina od koszuli srebrną gwiazdę.

– Dylan?

Uśmiechnął się do niej tak, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Wszystko w porządku, skarbie – szepnął. Następnie zwrócił się do burmistrza, podając mu swoją odznakę:.

– Byłem dumny, służąc Tranquillity przez ostatnie sześć lat, ale skoro miasto staje się ważniejsze niż mieszkający w nim ludzie, jestem zmuszony zrezygnować.

W sali zapadło milczenie. Wszyscy czekali na reakcję Myrona Worthingtona. Tylko bawiące się przy choince dzieci, nie zdając sobie sprawy z powagi chwili, radośnie szczebiotały.

– Słuchaj, Dylan...

Dylan pokręcił głową i objął Brennę ramieniem.

Jesteś kobietą, którą kocham, Tranquillity jest na odległym, drugim miejscu.

Brenna poczuła się tak, jakby podłoga usuwała jej się spod nóg. Czyżby Dylan właśnie powiedział, że ją kocha, i to przed całym miastem?

Ale on nie może zrezygnować z pracy. Znaczy dla niego zbyt wiele.

Wyjęła odznakę z ręki Myrona i podała ją



Dylanowi.

– Dylan, nie mogę ci na to pozwolić. – Głos jej się załamał, ale się opanowała i zwróciła do tłumu. – Wiem, jak Dylan kocha Tranquillity. Jak bardzo kocha was wszystkich.

A stanowisko szeryfa liczy się dla niego za bardzo, by dla mnie z niego rezygnował.

– Skarbie...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za hydranty i tablice z nazwami ulic. Jestem nawet gotowa zamknąć sklep i wyjechać, jeżeli tylko tak można przywrócić w mieście spokój. – Wspięła się na palce i musnęła wargami usta Dylana. – Za bardzo cię Kocham, żebym mogła im pozwolić przyjąć twoją rezygnację.

– Och, to najśłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam – rozculiła się Cornelia. Odwróciła się do męża. – Myron, powiedz coś...

– Ee... więc... słuchajcie – jąkał się Myron. – Nie ma żadnego powodu, by ktoś rezygnował ze swojej pracy albo wyjeżdżał z miasta.

– Żadnego – przytaknął Luke Washburn. Oczywiście miał podejrzenie *wilgotne*.

– Przypnij odznakę, Dylan – powiedział Ed Taylor.  
– Jakoś wszystko uładzimy.

Dylan przyciągnął do siebie Brennę.

– No i co ty na to? Będziemy w stanie wszystko

uładzić?

Brenna uniosła wzrok na mężczyznę, którego kochała ponad wszystko.

– Wydaje mi się, że jest to całkiem możliwe. – Uśmiechnęła się przez łzy.

– To mi wystarczy – oświadczył, a jego gorące spojrzenie przyprawiło ją o dreszczyki w całym ciele.

– Skarbie, czy uczynisz mi ten zaszczyt i wyjdiesz za mnie?

W sali zapanowała absolutna cisza. Wszyscy z zapartym tchem czekali na odpowiedź Brenny. Nawet dzieci kręcące się przy choince chyba wyczuły, że dzieje się coś nadzwyczajnego, bo i one zamilkły.

Po jej twarzy ciurkiem popłynęły łzy. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Ach, Dylan, gdyby to było możliwe, w tej chwili wyszłabym za ciebie.

Obywatele Tranquillity wznosili okrzyki, tłoczyli się wokół szczęśliwej pary z gratulacjami.

– Brenna?

Odwracając się, zobaczyła Mildred Bruner.

– Czy naprawdę wyszłabyś za Dy lana jeszcze dziś wieczorem, gdyby to było możliwe?

– Tak.

– A ty, mój drogi? – spytała Mildred.

Brenna spojrzała na Dylana z lekkim niepokojem.

– Jasne, że chciałbym wziąć ślub jeszcze dziś. Ale

na pozwolenie trzeba czekać trzy dni. Jako miejski urzędnik sama o tym wiesz.

– To prawda – przyznała Mildred. – Jednak jeżeli sędzia okręgowy zwolni kogoś z tego wymogu, ślub może odbyć się natychmiast.

Z szerokim uśmiechem podszedł do nich Pete i serdecznie poklepał Dylana po ramieniu. W tej samej chwili Abigail podeszła z drugiej strony i uściskała Brennę.

– Do rancza sędziego Bertranda jest tylko kilkanaście kilometrów – zauważył Pete.

– Winien mi jest przysługę – powiedział Myron z zadowoleniem. – Ja, Ed i Luke pojedziemy do niego. Za godzinę będziemy z powrotem.

Dylan spojrzał na Brennę tak, że aż podkuliła palce w swoich zielonych elfich botkach.

– Mildred, czy nadal nosisz ze sobą formularze? – spytał.

Mildred skinęła głową.

– Oczywiście. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Od leniwego uśmiechu Dylana serce Brenny na chwilę się zatrzymało.

– Co ty na to, skarbie? Chciałabyś jeszcze dziś wieczorem wziąć ślub?

– Tak – odparta bez chwili wahania.

Dylan szybko ją pocałował, a ludzie nagrodzili ich wesołymi okrzykami.

Cornelia wystąpiła do przodu i rzucając rozkazy tonem, z którego byłaby dumna profesjonalna organizatorka ślubów, wzięła sprawę w swoje ręce. Wysłała trójkę mężczyzn po sędziego, a potem z kobietami z Towarzystwa Upiększania zaczęła przygotowania do ceremonii. W tym czasie nieprzytomna z radości Abigail zabrała Brennę do domu, by tam się przebrała.

Godzinę później, w zielonej sukience, którą miała na sobie podczas ślubu babci, z bukietem czerwonych i białych pączków róż, Brenna stała na korytarzu przed świetlicą.

– Jesteś piękną panną młodą – powiedział Pete. Jego oczy podejrzenie lśniły.

– Oczywiście, ty stary koźle. – Abigail właśnie wkładała Brennie na głowę stroik z białych gipsówek. – Przecież to moja wnuczka.

Pete zachichotał.

– Jasne. Dylan też jest przystojnym panem młodym.

Przecież to mój siostrzeniec.

W tej chwili ze świetlicy dobiegły dźwięki marsza weselnego i w drzwiach stanęła Cornelia.

– Brenno, twój narzeczony czeka na ciebie.

Abigail uśmiechnęła się do Brenny przez łyżę i poklepała ją po policzku, a potem powoli weszła do sali.

– Jesteś gotowa, dziewczyno? – spytał Pete, podając jej ramię.

– Tak.

Gdy Pete prowadził ją przez drzwi, Brenna spojrzała na salę. Obywatele Tranquillity ustawili się w dwóch grupach, zostawiając środek wolny. Pod przeciwległą ścianą, przy oświetlonej świecami choince, stał Dylan, a obok niego sędzia Bertrand. Światełka na choince migały, ale ona prawie tego nie widziała. Szła ku mężczyźnie, którego kochała, zahipnotyzowana blaskiem miłości, jaki zobaczyła w jego oczach.

– Jesteś gotowa przemienić te jasełka w coś, czego Tranquillity nigdy nie zapomni? – spytał Dylan, biorąc od Pete'a jej rękę.

– Nigdy w życiu nie byłam na nic bardziej gotowa – szepnęła, a łzy szczęścia zamglily jej wzrok. – Kocham cię.

– I ja cię kocham, skarbie. – Pocałował ją w rękę, a potem uśmiechnął się tak, że poczuła ciepło. – A więc bierzmy ślub.

## EPILOG

Wigilia, rok później

Dylan uśmiechał się ze wzruszeniem, patrząc, jak Brenna z trudem gramoli się z fotela przy choince, bierze książkę i zaczyna czytać dzieciom. Nigdy by nie uwierzył, że to możliwe, ale kochał ją dziś jeszcze bardziej niż w dniu, w którym została jego żoną.

– Brenna ślicznie dziś wygląda – zauważyła burmistrz Worthington, podchodząc do Dylana.

– Tak – zgodził się z dumą. Spojrzał na pierwszą kobietę, która została burmistrzem Tranquillity w stu pięćdziesięcioletniej historii miasta. – A gdzie jest Myron?

– Wkłada strój. – Cornelia roześmiała się. – Narzekał, że zgodnie z tradycją to burmistrz powinien podczas jasełek odegrać rolę świętego Mikołaja, ale członkowie rady i ja zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie pozostawić to jemu. Ja nie byłabym taka przekonująca.

– Słyszałem, że kobiety postanowiły także, by Luke i Ed zostali pomocnikami Mikołaja.

– Rzeczywiście, tak było. Emily zgłosiła wniosek, a Helen ją poparła.

Cornelia poszła porozmawiać z kimś innym, i

Dylan z powrotem zaczął się przyglądać żonie. Gdy w końcu zamknęła wielką księgę, w drzwiach pojawił się święty Mikołaj.

– Widziałeś kiedyś elfa z bardziej krzywymi nogami? – roześmiał się Pete. Właśnie razem z Abigail przechodzili koło Dy lana, kierując się do stołu z ponczem.

Dylan też się roześmiał.

– W tym zielonym trykocie Ed wygląda naprawdę zabawnie.

– Gdybyś mnie spytał, powiedziałbym ci, że Luke jest jeszcze zabawniejszy – zachichotała Abigail, wskazując palcem trzech mężczyzn rozdających prezenty. – Między koszulką i spodniami wystaje mu sporo błyszczącego brzucha.

– Która godzina? – spytała Brenna, podchodząc do nich.

Dylan spojrział na zegarek, powiedział jej i objął ją za ramiona.

– Jesteś zmęczona?

Kładąc rękę na wielkim brzuchu, pokręciła głową.

– Nie. Po prostu chciałam wiedzieć.

– Te jasełka bardzo się różnią od zeszłorocznych, prawda? – Abigail wydawała się rozczarowana. – Nie dzieje się nic tak podniecającego jak wtedy. Nikt się nie kłóci i nikt się nie żeni.

– Nie co roku mogą się dziać takie wspaniałe rzeczy, cukiereczku – powiedział Pete, całując ją w

policzek.

Dylan przytulił Brennę i pocałował w czubek głowy.

– Jeśli chodzi o mnie, nigdy już nie będzie tak wyjątkowych jasełek jak te.

– Nigdy nie mów nigdy – wysapała Brenna ze śmiechem.

– Więc co ci dziś powiedział lekarz? – spytała Abigail.

– Mój pierwszy prawnuk będzie dzieckiem gwiazdkowym czy noworocznym?

Przykrywając rękę, którą Brenna trzymała na brzuchu, Dylan uśmiechnął się do kobiety, którą kochał nad życie.

– Powiedział, że może to być już w każdej chwili.

– Na pewno wiemy tylko, że to będzie dziewczynka.

– Dziewczynka? – Pete uśmiechnął się z rozczeniem.

– Dylan, jeżeli wasza córka będzie tak ładna jak jej mama i babcia, będziemy musieli odganiać chłopców kijem.

Dylanowi zadrgał mięsień w twarzy.

– Na samą myśl o tym czuję, że robi mi się wrzód na żołądku.

– Wybraliście już imię? – spytała Abigail.

– Myśleliśmy o Noelle – odparta Brenna i potarła brzuch. – Dylan, która godzina?



Roześmiał się.

– Minęło pięć minut, odkąd ostatnio pytałaś. O co ci chodzi? Umówiłaś się gdzieś?

Brenna skinęła głową.

– Ze szpitalem.

– Jesteś pewna? – Kolana mu zmiękły.

– Tak, kochanie – powiedziała Brenna spokojnie. – Poród się zaczął dwie godziny temu.

– Do licha! Pete, idź po samochód! – zawołała uszczęśliwiona Abigail. – Wygląda na to, że jednak dzisiejszy wieczór też będzie ekscytujący.

Noelle Dyanne Chandler urodziła się o brzasku w pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Gdy ojciec wziął ją po raz pierwszy w ramiona i spojrzał na najpiękniejszą niemowlę, jakie w życiu widział, do oczu napłynęły mu łzy. Zawsze miał słabość do rudzielców, a teraz miał w swoim życiu dwie rade kobiety: Brennę i córeczkę.

– Jest zdrowa? – spytała Brenna niespokojnie.

Całując żonę w czubek głowy, Dylan uśmiechnął się.

– Jest pod każdym względem doskonała. Tak jak jej matka.

Brenna uśmiechnęła się do niego przez łzy, gdy kładł jej małą w ramiona.

– Wygląda na to, że w tym roku znów zakłóciliśmy jasełka.

Szcześliwszy niż kiedykolwiek w życiu, Dylan roześmiał się.

– Twoja babcia już się zastanawia, co szykujemy na następny rok.

– To cała ona – mruknęła Brenna. Wydawała się zmęczona. – Czy ona i Pete jeszcze są w poczekalni?

– Tak. A razem z nimi zebrało się co najmniej pół Tranquillity.

– Poważnie? – zdziwiła się.

– Tak. – Delikatnie musnął palcem mięciutki policzek córki. – Wszyscy chcą wiedzieć, jak się czujesz, i powitać nową obywatelkę miasta. – Dylan zachichotał. – Tak się spieszyli z przyjazdem, że nie dali nawet Myronowi, Edowi i Luke'owi się przebrać. Nadal mają na sobie stroje Mikołaja i elfów.

– Nie mogę uwierzyć, że wszyscy tu są – roześmiała się Brenna.

– Kotku, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, ile dla nich znaczysz? – Dylan odgarnął jej włosy z bledziutkiego policzka. – Kochają cię prawie tak samo jak ja.

W jej ślicznych niebieskich oczach zakręciły się łzy.

– Ja też cię kocham, Dylan.

– A ja ciebie. – Dylan pochylił się i czule ucałował jej słodkie usta. – Kocham cię całym sercem.